Kultura Łodzi

nr 5

czerwiec 1938

pismo poświęcone życiu kulturalnemu — cena 1 zł



WIDOK OGÓLNY MIASTA ŁODZI. (Podług fotografii Beyera).

STARA ŁÓDŹ
w ILUSTRACJI

Widok rynku Nowego Miasta (dziś Plac Wolności) z r. 1866.

(Sztych według zdjęcia fotograficznego z natury Karola Beyera Był reprodukowany w Tygodniku Ilustrowanym nr 330. 1866 r. — jako ilustracja do artykułu Oskara Flatta pt. „Łódź i nowobudująca się do niej droga żelazna").

Zbiory Archiwum Miejskiego.

Problem inteligencji łódzkiej

Nie myślę tutaj o t. zw. inteligencji zawodowej. Myślę o inteligencji istotnej, to znaczy o grupie ludzi odznaczającej się rzadkim i trudnym darem samodzielnege myślenia i czucia. Jest przecież znaczna różnica (choćby różnica poziomu) między tymi, którzy pracują „sitzfleisch'em", a tymi, którzy pracują mózgiem. Otóż w wypadkach, kiedy się mówi o inteligencji, zgłaszają zaraz swoje pretensje owi „sitzfleische" z rozmaitych urzędów oficjalnych i nieoficjalnych, różne „energiczne i zdolne" eminencje z szerokim poglądem umysłowym na rychłą i niecierpliwie wyczekiwaną emeryturę z ogródkiem podmiejskim jako ostatecznym ideałem celu życiowego. Takiej „inteligencji" w naszym mieście oczywiście nie brak. Pełno jej, tej „zakały" życia współczesnego, po urzędach państwowych, magistrackich i komunalnych; najmniej w przedsiębiorstwach i imprezach prywatnych, wymagających większej dozy samodzielnego myślenia bądź też większej dozy ryzyka i poświęcenia bez pewnej nadziei zysku. Ta „zakała" w naszym mieście daje się szczególnie we znaki, bo rekrutuje się przeważnie z elementu napływowego, nie posiadającego t. zw. miłości lokalnej, wobec czego ich stosunek do miasta jest nieledwie że najezdniczy, łupieżczy, eksploatatorski — jest urząd, jest biurko, jest „kawałek" do odrobienia i nic go takiego „inteligenta" poza tym nie obchodzi. Oni to właśnie, ci najeźdźcy, ci kulturalni barbarzyńcy, ta ruchoma armia umysłowego proletariatu bez przydziału stałego miejsca, z wieczną trwogą zmiany, z niewygasłą jeszcze pamięcią ciepłych i wygodnych kawiarenek przeważnie Krakowa, Przemyśla, Lwowa i Warszawki, urobili Łodzi opinię „złego miasta". A przecież to oni tę „złość" naszego miasta wytwarzają!

Powie ktoś, no dobrze, ale gdzież ta miejscowa inteligencja, zapewne wzór wszystkich cnót serca i umysłu po takiej charakterystyce „kulturalnych najeźdźców"? Odpowiem, że jest i to właśnie jako wzór może nie wszystkich zaraz cnót, ale zawszeć wzór, nielicznie tylko nadgryziona tu i owdzie złymi obyczajami zawodowego myślenia i czucia przez kohorty pozamiejscowych „kulturtraegerów" Oczywiście najmniej jest jej w biurach i urzędach; najwięcej w nauczycielstwie, w instytucjach oświatowych, naukowych, w zawodach wolnych i... w sztuce - a więc w dziedzinach najtrudniejszych życiowo i najmniej intratnych. Na tym polega, uważam, zdrowie moralne tej nielicznej garstki inteligencji miejscowej, rekrutującej się z autochtonów, przeważnie pochodzenia proletariackiego. Trudnoby mi było wyliczać tutaj niedyskretnie niektóre głośniejsze nazwiska, ale każdy, kto nieco wnikliwiej przepatrzy szeregi nauczycielstwa, instytucyj oświatowych i naukowych, zrzeszeń zawodowych i placówek artystycznych, dojdzie do niewątpliwego wniosku o przewadze moralnej i umysłowej jednostek pochodzenia miejscowego nad napływowym. Są naturalnie wyjątki, wyjątki błogosławione dla miasta, którym należałoby stawiać pomniki — ale wyjątki te, jak zwykle, potwierdzają tylko regułę. A reguła ta, to złe obyczaje ciasnej zawodowości „z ojca na syna" bez względu na uzdolnienia i t. zw. „dyspozycje wewnętrzne" czyli powołanie, niewidzenie nic poza obrębem własnego warsztatu (biurka!) pracy albo raczej zarobku, głucha obojętność na wyższe potrzeby życia, jak twórczość umysłowa i doznania artystyczne, poza wulgarnymi rozrywkami kina, kabaretu, dancingu i budy cyrkowej. Czy jest do pomyślenia w jakim innym mieście Europy, aby inteligencja zawodowa do spółki z burżujstwem miasta przeszło 600-tysięcznego nie zdołała zapełnić jedynego do niedawna teatru czy jedynej sali koncertowej nawet w dniu premiery? Możliwe to tylko oczywiście przy eksploatatorskim, rentierskim stosunku do miasta zarówno tego burżujstwa, nota bene najbogatszego w kraju, jak i tej inteligencji.

Ten brak wyższych potrzeb, ta rezygnacja z subtelniejszych aspiracji przeważnej części miejscowego burżujstwa i inteligencji jest najwalniejszą przyczyną odpływu co niepospolitszych jednostek, bogatszych nieco intelektualnie, nieraz tylko ambicjonalnie, bardziej rzutkich i szersze ogarniających horyzonty, z niepowetowaną szkodą dla miasta — jego atmosfery kulturalnej, no i co tu ukrywać, jego znaczenia w hierarchii prestiżowej innych miast polskich. W tych innych miastach nawet mniejszych od Łodzi o połowę, nawet mniejszych o dwie lub trzy czwarte, mogą się utrzymać i przebywać w nich nieraz przez całe życie —nie ponosząc przez to żadnego uszczerbku ani na słowie swego imienia ani na należnym swemu talentowi dobrobycie — wielcy aktorzy, dziennikarze, malarze, pisarze i muzycy - tymczasem z Łodzi wszystko to zmyka, ledwo w piórka porośnie, a który zdecyduje się lub zmuszony jest zostać— zaprawdę powiadam wam, tenci Winkelrydem conajmniej, biorącym dobrowolnie wszystkie mie-

cze boleściwego żywota w serce swoje czy jakim innym męczennikiem świeckim, żeby już imion świętych nie wzywać nadaremno! Dla tegożci sprawiedliwego miasto naprawdę jest „złe“. Gdzież się obróci i co pocznie! Żadnych kół, senakli czy sympozjonów—ani tych górnych, gdzie on mógłby nabywać rzeczy nowe i wzbogacać się i obrastać w coraz obfitsze tłuszcze duchowe, w coraz barwniejsze piórka intelektu i subtelności estetycznych —ani tych dolnych, gdzieby właśnie mógł te piórka ku pożytkowi szerokiego ogółu ronić, tłuszczem duchowym kapać w rozwarte pragnieniem dzioby bezskrzydłej rzeszy, marzącej o locie w górne regiony piękna i rozumu. Cóż tu się dziwić, że siaki taki właśnie „duchem bożym opity“, jakby powiedział Słowacki, zwiewa z tego miasta, gdzie istnieją trzy dzienniki i dwa wieczorniki, pisma wydawane niby w języku polskim, a z których żadne z osobna i wszystkie razem nie zdolne byłyby zapewnić mu nawet skromnego bytu, nie mówiąc już o podtrzymaniu i rozszerzeniu sławy jego imienia poza rogatki miasta, choćby nawet pisał arcydzieła i żył i drukował w tych pismach lat 50 czy 100, bo pisma te dalej, niż do rogatek miejskich nie sięgają, bo już w podmiejskiej Kolumnie wolą czytać „Echo Kaliskie“, miast „Echa Łódzkiego”, a w Tuszynie „Głos Piotrkowski“ miast „Głosu Porannego“, a w Zgierzu „Łowiczanina“, miast „Łodzianina“. Jeśli chodzi o prasę, jest to miasto naprawdę „zabite deskami od świata”. Ale któż tu winien? Co inteligentniejszy czytelnik abonuje pismo poza miejscowe—tam obok właściwego na swój subtelniejszy zmysł pokarmu spotyka również i tych wybranych łodzian „opitych duchem bożym“, którym we własnym mieście miejsca zabrakło Wiem z własnej praktyki, ile się trzeba nachodzić, ażeby któreś z pism łódzkich przyjęło artykuł i to przeważnie za darmo i jak potem trzeba całymi nieraz tygodniami czekać na jego wydrukowanie, — i to takie trudności mam ja, niby pisarz „zawodowy“ i już wprowadzony na rynek literacki, a cóż tu dopiero mówić o nowym zdolnym debiutancie czy zwykłym sobie inteligencie, który nie pisze „zawodowo“, ale od czasu do czasu ma przecież coś bardzo ciekawego do opowiedzenia ze swych przeżyć i przemyśleń. Znam paru bardzo inteligentnych, bardzo oczytanych erudytów, społeczników i prawie filozofów, ludzi o najzdrowszym i najrozsądniejszym poglądzie na życie, ludzi o najsubtelniejszym smaku estetycznym, ludzi żywych i reagujących najtrafniej na aktualnie zachodzące wypadki w naszym mieście i na świecie—którzy jednak milczą i siedzą cicho w kokonach swej urażonej dumy i elementarnego poczucia własnej godności wobec grożącego im zewsząd usankcjonowanego chamstwa, pychy, nieuctwa i rozwielmożnionej ignorancji.

Hochsztaplerstwo żeruje na każdym niemal odcinku pracy t. zw. kulturalnej naszego miasta i kompromituje każdą inicjatywę zbiorową i zdrowo poczętą myśl. Małpy chodzą za każdym wyrastającym ponad przeciętność człowiekiem i ośmieszają jego ruchy swymi małpimi gestami... Małpy przeglądają się w lustrze, podgalają sobie włosy nad czołem, ażeby „inteligentniej” i „poetyczniej“ wyglądać i wmawiają sobie i zbaraniałej publice że są solą ziemi, świecznikami, bez których w mieście byłoby ciemno jak w Erebie.

Jaki na to ratunek i jaka rada? Za wszelką cenę zatamować odpływ prawdziwej inteligencji, tej twórczej, rekrutującej się przeważnie z miejscowego proletariatu, związanej z miastem nietylko sentymentem i wdzięcznością za danie możliwości wydobycia się „z dołu“, ale i konkretnymi więzami ze swą rodziną w masie proletarjackiej, której niejednokrotnie trzeba pomagać, ułatwiać własnymi stosunkami co zdolniejszym z tej rodziny awans społeczny. Ta inteligencja, związana z miastem sercem i interesem, uczyni z niego przedmiot szczerej ambicji i dumy, cel swojej pracy i całożyciowego ideału. Ta inteligencja nada miastu charakter kulturalny, sama tworząc z biegiem czasu sól jego obyczaju, pomnażany cierpliwie z pokolenia w pokolenie kapitał tradycji.

Jedyną konkretną siłą zdolną zatamować stały, zatrważający odpływ miejscowej inteligencji z Łodzi jest stworzenie jej warsztatu pracy i otoczenie splendorem uznania każdego indywidualnego wysiłku na polu społecznym, umysłowym i artystycznym. Pewne wysiłki w tym kierunku zostały już poczynione. Mam na myśli zawiązek wyższej uczelni w postaci oddziału Wolnej Wszechnicy Polskiej i Nagrodę m. Łodzi. Obie te sprawy należałoby zreformować. Skończyć czym prędzej z namiastką wyższej uczelni w jej dzisiejszej postaci, a zdobyć się na konkretny warsztat pracy i oddziaływania na atmosferę umysłowego miasta i okolic przez prawdziwą inteligencję z katedr własnego wyższego zakładu naukowego zrównanego prawami i poziomem z pozostałymi w kraju. Nagrodę m. Łodzi, będącą dopingiem dla wysiłków indywidualnych jednostek twórczych, zespolić ściśle z miastem, ewentualnie rozszerzyć jego zasięg również i na muzyków, na dziennikarzy, na pedagogów, na społeczników, czy też nawet na zespoły o charakterze społecznym i oświatowym.

Zasadniczo jednak nagroda powinna być udzielana indywidualnie tak, jak to się praktykuje w całej kulturalnej Europie, gdyż zdobycze zarówno artystyczne jak i naukowe rzadko tworzy się zbiorowo, lecz właśnie indywidualnie, w ciszy zamkniętego laboratorium lub skupionych myśli natchnionej jednostki. Łódź, której tych jednostek tak bardzo brak, tym skwapliwiej powinna je wyróżniać i wiązać z sobą laurem uznania.

Trzecia sprawa, to reforma dziennikarstwa łódzkiego, jako trybuny życia publicznego. Ale ten ciężki i ponury problem naszego miasta wymaga osobnego omówienia.

Marian Piechal.

Księga wieczysta obywatelstwa dawnej Łodzi

Odległe dzieje Łodzi, bo przeszło sześć wieków ciągnące się, kryją się w starych księgach i aktach. Kapryśny los nie przekazał nam budowli pomników, czy innych zabytków z tej tak odległej przeszłości. Miasto nasze pod tym względem nie tylko nie może rywalizować z innymi wielkimi ośrodkami życia miejskiego, ale nawet z miernymi mieścinami. Zato historia nasza kryje się w tych najbardziej bezpośrednich przekazach kultury, w pomnikach rękopisemnych. Nasze zabytki archiwalne sięgają wieków średnich, połowy XV stulecia, lecz niestety te najdawniejsze i najcenniejsze źródła historii Łodzi, dotyczące przeważnie jej dziejów rolniczych, znajdują się w obcych archiwach. Dopiero materiały, odnoszące się do późniejszych czasów — od połowy XVIII wieku aż po dziś dzień — kryją się w bogatych zbiorach Archiwum Miejskiego naszego miasta.

Cimelium Łodzi i Archiwum Miejskiego jest najstarsza w zbiorach archiwalnych miejskich księga łódzka z drugiej połowy XVIII stulecia i z pierwszej połowy XIX. Obejmuje ona lata 1775—1822 oraz starsze wpisy. Zabytek ten nosi tytuł: „Xięgi wieczyste Obywatelstwa Łódzkiego Miasteczka Łodzi", założone roku Pańskiego 1775 „na dnia 6 listopada".

„Xięgi wieczyste" mieszczaństwa Łodzi przechodziły ciekawe koleje. W XVIII stuleciu stanowi księga łódzka najmłodszą pozycję w archiwum miasteczka rolniczego. Tytuł jej widnieje w repertorium akt Biura policji m. Łodzi w r. 1819. Jeszcze przy instalacji Tangermanna na burmistrza Łodzi w r. 1826 zanotowano istnienie księgi w „Summaryuszu dokumentów miasta Łodzi w skrzyni przywilejowej zachowanych..." — jako „książkę w połskórek oprawną, obejmującą zapisy nabywanych przez mieszczan własności". Z rozporządzenia Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych w r. 1843 ówczesny magistrat łódzki przekazał Archiwum Akt Dawnych przy Trybunale Cywilnym Gub. Mazowieckiej „zabrane papiery z dawnych rządów polskich pozostałe, a w Archiwum miejscowym znajdujące się", w tym również i omawianą księgę. W drugiej połowie ubiegłego stulecia sędzia apelacyjny łęczycki Jan Łaguna ściągnął tę księgę do siebie w sprawach urzędowych, a później wcielił do swych zbiorów syn jego Stosław, historyk W r. 1909 otrzymał bibliotekę i rękopisy wraz z „Xięgami obywatelstwa łódzkiego" po Stanisławie Łagunie historyk Jan Korwin Kochanowski, związany licznymi węzłami z miastem naszym i studiami nad dziejami Łodzi, a następnie ofiarował „Xięgi" Archiwum Miejskiemu w r. 1926, które dziś stanowią najcenniejszą pozycję wśród rękopisów łódzkich.

Pokaźna ta księga, licząca wraz z wkładkami 272 karty, została odrestaurowana z zachowaniem cech pierwowzoru. Dochowała się w stanie bardzo dobrym. Księga obejmuje prawie całokształt życia miasteczka i mieszczaństwa łódzkiego w przeciągu półwiecza na przełomie dwóch stuleci. Zawiera wpisy publiczno—i prywatno-prawne; są to akty kupna, sprzedaży, zamiany, testamenty. cesje, legaty (publiczne i prywatne), znajdą się zapisy dokumentów, dekretów, listów oraz luźne notatki, nieraz o dużej wartości dowodowej lub o niezastąpionej wartości dla dziejów miasta. Księga daje poważny materiał źródłowy do odtworzenia życia, kultury i obyczajów mieszczaństwa, dla zobrazowania stosunków własnościowych; kreślić można rys geograficzny miasta, ponieważ księga dostarcza wiele danych topograficznych, głównie w zapiskach o charakterze prywatno-prawnym. Księga daje poznać na jej podstawie życie publiczne miasteczka: jego władze nadzorcze najpierw biskupów kujawskich, później rządu pruskiego, w końcu znów rządów polskich (Księstwa i Królestwa); jego władze samorządowe: urząd municypalny-radę z burmistrzem i ławę z wójtem; jego głośniejsze

sprawy procesowe, napomnienia, odwiedziny. Obraz życia gospodarczego miasteczka dzięki zapiskom księgi otrzyma szereg charakterystycznych rysów, choćby dla przykładu: „regestr piwa wyrobionego 50 nowej miary, wódki ordynaryjnej garcy 70, kwart 3“ złożony zeznaniem pod przysięgą przedstawicieli mieszczan łódzkich.

Opisywana tutaj księga zawiera jedyny tego rodzaju zapis w przeciągu całych dziejów rolniczych Łodzi, t. j. akt wyboru nowych władz miejskich, który jako ciekawy przyczynek do życia publicznego Łodzi w XVIII stuleciu w całości przytaczamy.

„In Nomine Domini Benedictum Nunc et usque in saeculum. Dnia 26 Czerwca Roku 1775go Obrany jest od Pospolstwa całego i od dworu potwierdzony przez W. Imci Pana Józefa Chojeckiego a Dzierżawcy Trzechletniego od JWImci Księdza Antoniego Ostrowskiego, Biskupa Kujawskiego i Pomorskiego.

Wójt Sławetny Jan Gozdowski, Burmistrz Aleksy Drewnowicz, Rajca pierwszy Paweł Suwalski, Rajca drugi Stanisław Pławski, Rajca trzeci Jakub Krzyztowszyk, Rajca czwarty Jakub Zarzecki.

Landwójtowskich Rajców: Rajca pierwszy Jan Maniński, Rajca drugi Jan Jeżewicz. Pisarz Miejski Roch Józef Ławiński, Przysięgły Łódzki.

Roman Kaczmarek

„Po maturze“

(fragment z powieści „Odkupienie“)

— A pan, panie dobrodzieju, co tu robi? — wyrwał go z zadumy głos jego dawnego referenta z Urzędu.

Wiktor ocknął się.

— Dobry wieczór, panie referencie — odrzekł wstając — pan referent z biura?

— Niedobrze, że w taki czas siedzi pan na ławce, chłodno, może się pan reumatyzmu nabawić— mówił referent. — A rzeczywiście wracam sprzed Urzędu, byłem popatrzeć na biuro. Cóż! Tyle lat się tam pracowało, tyle czasu spędziło, a teraz człowiek zestarzał się, zużył, niepotrzebny...

— To pan referent na emeryturze?

— Młodszym trzeba było ustąpić — mówił referent z drgającą nutą żalu w głosie.

— Pan referent dosyć się już napracował i odpoczynek należy się panu słusznie.

— Panie dobrodzieju, odpoczynek po czym? kiedy to ja się napracowałem?... i odpoczywać nie potrzebuję.

Wiktor przypomniał sobie, że referent zawsze twierdził, że człowiek nie męczy się. Przyjrzał się referentowi, który postarzał się przez czas, jak go Wiktor nie widział, zgrzybiał prawie, o kiju chodził.

Referent jakby odgadując myśli Wiktora, rzekł:

— Panie dobrodzieju, człowiek dziś nie ten co dawniej. Bez pracy, bez godnego zużytkowania czasu, marnieje. . Ale cóż, ciągle i bez przerwy młodzież napływa z maturami, dyplomami. Panie dobrodzieju, czy to kiedyś tak było... Dziś w naszym biurze ilu to urzędników z wyższym wykształceniem... A w 1918 roku?... Organizowali Państwo ludzie, co ledwie czytać i pisać umieli.. Dziś ty stary masz emeryturę i idź precz, więdnij, schnij i czym prędzej tym lepiej, i niedługo mi już panie dobrodzieju, kilka tygodni jeszcze i ustąpię.

— Panie referencie, emerytura to wdzięczność społeczeństwa, za usługi pana oddane Państwu.

— A pan swoje, panie dobrodzieju. Co to jest, że ta młodzież dzisiejsza nie chciałaby pracować i uśmiecha się jej darmowe życie... Emerytura, panie dobrodzieju, ile to jest tej emerytury? Człowiek całe życie harował i co ma? Przed wojną na urzędzie był intruzem... najniższe stanowisko mógł zajmować... a po wojnie? Były urzędnik, moskalom się nie wysługiwał i nie przyznali emerytury takiej, jaka się za tyle lat należała, a przecież człowiek czy przed wojną, czy po wojnie temu samemu społeczeństwu służył.

— Pan referent jest niesprawiedliwy mówiąc, że młodzież nie chce pracować — mówił Wiktor. — Dziś młodzież nie tylko pracuje, ale przepracowuje się i to każda. Mało, że pracuje w fabrykach, biurach, w szkołach, w uczelni, społecznie musi pracować...

— Pan, panie dobrodzieju, zaraz siebie ma na myśli .. a jak tam nauka, hę?

— Dziś otrzymałem maturę...

— Maturę, rzeczywiście?

— Tak.

— No to, panie dobrodzieju, winszuję... Pan, panie dobrodzieju, wysoko zajdzie bo pan pracować lubi... Winszuję... A nikt nie wierzył, by pan zrobił, mając takie warunki, panie dobrodzieju, to co pan zrobił, to heroizm!..

Wiktor czuł, że czerwienieje, a referent potrząsał głową ożywiony, jak gdyby w biurze pracował i nie przestawał mówić.

— A najwięcej to, panie dobrodzieju, pan Bocheński nie wierzył, by pan coś w życiu osiągnął.

— A co pan Bocheński porabia? — zapytał Wiktor.

— Panie dobrodzieju, pan Bocheński źle skończył i ani się spodziewałem, że był tak nieuczciwy... Został pozbawiony posady i teraz znajduje się w więzieniu za nadużycia.

Wiktor zamyślił się, a i referent umilkł.

— A która to godzina, panie dobrodzieju? — referent przerwał milczenie.

— Nie wiem.

Referent wyjął zegarek.

— Po dziesiątej, panie dobrodzieju, muszę iść, żona czeka. Ale, czy ten zegarek aby dobrze idzie? Która u pana, panie dobrodzieju?

— Nie mam zegarka.

— A to szkoda, panie dobrodzieju, trzeba by sprawdzić. Gdzie tutaj najbliższy zegar?

— Na Piotrkowskiej.

— Chodźmy — rzekł referent.

Poszli rozmawiając.

— Czy pan widzi godzinę? — pytał referent, gdy już napotkali zegar uliczny i nakładał okulary na nos, by samemu dojrzeć. — Dwie minuty później – mówił patrząc na swój i uliczny zegar — który się śpieszy, a który idzie dobrze?.. Możebyśmy się przeszli przed ratusz.

Ruszyli. Przed ratuszem referent założył okulary na nos ponownie i sprawdzał.

— Jak tu wierzyć tym ulicznym — mówił — mój co do sekundy akuratnie idzie, panie dobrodzieju.

Rozstali się i Wiktor wracał do domu; wiedział, że nikt na niego nie czeka, mieszkanie zastał ciemne i Helę śpiącą.

Siadł na krześle i dumał zapominając o jedzeniu... Rozebrał się i położył na łóżku, ale nie zasnął pomimo nieprzespania poprzedniej nocy.. Sen odbiegł od niego. On rozmyślał i marzył.

— Teraz trzeba będzie pracować przez cały rok... i zarobić ze trzy setki, by mi wystarczyły na pierwszy rok studiów... Będę zwalał węgiel dniami i nocami... to już ostatnia męka... kilka lat jeszcze.. a później praca aż do śmierci.. praca umiłowana...

Mam maturę... a nikt nie wierzył, nawet referent... Ale co mi tam, ludzie zawsze są pod wrażeniem chwili i tylko o tym mówią, co widzą, nie chcą się trudzić myśleniem...

Nikt mi nie wierzył, a ja nie załamałem się i mam maturę... Nawet rodzina mi nie wierzyła... Siostra śpi, nieciekawa... Uważali, że napróżno pieniądze tracę.. Ale — naraz zastanowił się — czy ja na tablicy dobrze rozwiązywałem zadanie... — zaniepokoił się. zaraz...— niepokój jego wzrastał i przerabiał zadanie w myśli. — Źle rozwiązywałem, X_1 musi być mniejsze od X_2, a u mnie wyszło większe...

Wstał z łóżka, zapalił lampę, wziął ołówek, papier i rozwiązywał. Pot zaperlił jego czoło... Pisał cyfry, przekreślał, mnożył, dodawał. Odszukał tablice logarytmiczne.

— Nie, dobrze rozwiązałem — wyrzekł z ulgą — Tak, dobrze rozwiązałem.

Machinalnie począł rozwiązywać zadanie za zadaniem...

— Wiktor, ty siedzisz? Odwróć lampę — Helę obudził blask padający od lampy...

Wiktor jakby zbudzony, lampę zasłonił i zadania rozwiązywał dalej.

Zegar wybił drugą... Był senny...

— Po co ja siedzę... przecież ja mam maturę uzmysłowił sobie... Położę się... Mam maturę i już nie będę przerabiał zadań z matematyki... — odłożył książki jakby z żalem i legł w łóżku.

Władysław Pawlak

Marian Piechal

Apostolstwo

*Wiek nasz bez butów, Panie, chodzi boso,
karmi się pianką haseł, poi złudzeń rosą,
w żyłach ma elektryczność, iperyt i ołów,
miast organów — armaty pod sklepieniami kościołów,
od bomb i od kartaczów na świecie coraz bardziej jasno,
lecz w duszach jak w piwnicach mrok, bo serce zgasło,
rozum nie w zbroję męstwa, lecz w strach się obleka,
włosem na wierzch wywraca podszewkę człowieka,
zwoje mózgu z pod czaszek wypełzły jak węże,
nie myśl, lecz jad i podstęp są w dziejach orężem,
do podłych należy siła, miecz i słowo,
cynizm stał się zasługą, a prawda — niemową,
znów powraca do ceny starożytna cnota —
milczenie odliczane miarą trucizny lub złota,
zamknięte kwiaty dziewczyn, jutra tajemnice
splugawione na płotach kredą przez ulicę,
rozpiętego na krzyżu ranią fałszu gwoździe,
nie skromność chwałą, ale fajerwerk i moździerz —
i tylko apostolstwo Imienia Twego się dzieje
jak dawniej w kroplach potu tego, który mdleje
pod razami przemocy, jak dawniej w śpiewie Świętych,
i poetów, i w szmerze liści z bioder drzew poczętych,
i rzek, omywających kurz naszych trzewików
i brud ust naszych ochrypłych od bluźnierstw i krzyków,
jak w męczeństwie twoim, Spartaku, zdeptany kłosie,
i w twoim Savonarolo, spalony na rozświetlającym sumienia stosie,
i w twoim, Johnie Brownie, rozszerzający braterstwa granice,
po raz drugi w dziejach uświęcający śmiercią szubienicę,
i w twoim, Columbie, za poszerzenie ziemi okuty w kajdany,
i w twoim, Giordano Bruno, za prawdę w płomieniu skąpany,
i w twoim, Koperniku, wzgardzony przez świat światowidzie,
i w twoim, Sokratesie, odkrywający lekarstwo w truciźnie,
i w twoim, o ty o umarłym za życia głosie, Norwidzie,
milczeniem przez rodaków we własnej ojczyźnie
ukamienowany!*

Aleksander Świętochowski

Wśród pięknych. niesłusznie dziś zapomnianych bajek Aleksandra Świętochowskiego znajduje się opowiadanie o kamiennym lwie, który ukochał samotność i własne marzenia[1]). W poszukiwaniu „śnionych wyżyn“, w nieustannej wędrówce do celów, które mu wskazywało jego marzenie, dotarł lew do potężnych gór, rozkochał się w najwyższym i najpiękniejszym szczycie i skamieniał w uśmiechu upojenia i tęsknoty, obojętny na codzienne życie, które nieustannie przepływa obok niego.

Kiedyś ów lew kamienny przemówił. Powiedział, że „żyje, myśli i czuje, ale skamieniał na wszystko, co spodem świata się toczy...“. że największym jego szczęściem jest „zawieszenie wzroku na wysokości, do której kurz walk padołu nie sięga i która nie mdłymi ognikami nizin, ale blaskami podniebia gorzeje...“, że pokochał ideał, ale

do „przedmiotu swej miłości nie zbliżył się bardziej niż na odległość kochania“.

W uparty sposób przychodzi ta bajka o samotnym, skamieniałym lwie na myśl w chwili, kiedy ogarnia nas zaduma po śmierci Aleksandra Świętochowskiego. W zmarłym niedawno pisarzu było bowiem wiele z tej postaci dumnego lwa, który kroczył odważnie do własnych celów i wierny był zawsze swej wewnętrzej prawdzie.

Aleksander Świętochowski był dla współczesnego pokolenia istotnie czymś nakształt ogromnego, imponującego posągu, który skupił w sobie najciekawsze promienie całej minionej epoki, stał się pomnikowym niemal symbolem rozległego i bogatego okresu w dziejach polskiej kultury. W tej dumnej, posągowej postawie Świętochowski-samotnik do końca życia nie przestał być nieugiętym głosicielem własnych prawd, zapatrzonym w cele indywidualne, odległe i jedyne. Rozkochany w pracy myśli, rozmiłowany w trudzie myślenia, w namiętnym wydzieraniu tajemnic światom ludzkiego poznania przechodził często Świętochowski - intelektualista ponad życiem żywych ludzi, którzy dlatego mijali go, jak człowiek mija zimny posąg — z powagą, uznaniem wielkości, ale bez żywszego uderzenia serca.

Przeżywszy swoją epokę trwał Świętochowski wśród pokoleń, które mijały go z podziwem, afirmowały jego wielkość, ale zaopatrzone były już w inne cele, jak tłumy przechodniów nad jeziorem Konstancjeńskim przechodzące codziennie obok postaci dumnego, samotnego lwa zapatrzonego w odblask swych myśli, rozkochanego w swej własnej prawdzie na szczytach.

* * *

Klasyfikacja i ocena całej twórczości A. Świętochowskiego nie jest łatwa W całym bogactwie i różnorodności nie daje się ona zamknąć w ramach łatwego uogólnienia najwybitniejszy szermierz i publicysta polskiego pozytywizmu. We wszystkich niemal działach stanowi ona szereg rzetelnych wkładów do kultury polskiej, a w tym szerokim zasięgu domaga się najwyższych rang.

Był Świętochowski przede wszystkim jednym z najświetniejszych publicystów, jakich miało polskie piśmiennictwo. Jasny sposób argumentowania, piękny, klarowny, często wykwintny styl, śmiałość w głoszeniu nowych, choćby niepopularnych haseł, twardy, nieustępliwy, często ironiczny ton w stosunku do przeciwników, werwa urodzonego polemisty, wszystkie te czynniki nadawały artykułom Świętochowskiego rozgłos, dały mu możność zdecydowanego wpływu na opinię ogółu. Pracę publicystyczną uprawiał Świętochowski do ostatnich lat swego życia. Najżywotniejsze jej etapy zostały jednak zawarte w latach 70 i 80-tych zeszłego stulecia. w okresie „Przeglądu Tygodniowego“, „Nowin“ i „Prawdy“, gdzie zamieszczał Świętochowski głośne „liberum veto” podpisywane przez „Posła Prawdy”. Wówczas też, w początkach pracy publicystycznej, w słynnym artykule „My i Wy” określił Świętochowski jasno wytyczne swej pracy publicystycznej, którym pozostał wierny do końca: „Bo o cóż najbardziej chodzić powinno każdemu, przyjmującemu na siebie obowiązek przewodniczenia innym w sferze ducha? Naturalnie, jeżeli tu mamy na myśli swoje społeczeństwo, każdy starać się powinien przede wszystkim o wywołanie w ogóle jaknajwięcej sił umysłowych, o przyspieszenie pory jego dojrzałości, o pobudzenie go do pracy, nauki, zrozumienia swego położenia i swoich zadań”.

Praca publicystyczna często staje się grobem pełniejszej działalności pisarskiej, wciąga najrzetelniejsze talenty w koleje codziennych, żmudnych wysiłków dziennikarskich, wyczerpujących niejednokrotnie głębokie możliwości twórcze. Świętochowski nie rozmienił jednak swego talentu na drobne. Publicystyka, najwyższej zresztą rangi, nie odsunęła go od *twórczości naukowej*, od częstych i płodnych w następstwa wycieczek w krainę *literatury pięknej* — w dziedzinę dramatu, powieści, noweli i bajki. Uzyskawszy w r. 1875 w Lipsku stopień doktora filozofii za rozprawę „Ein Versuch die Entstehung der Moralgesetze zu erklären” wraca często Świętochowski od walk publicystycznych do studiów filozoficznych, odbywa wędrówki po drogach filozofii, socjologii, etyki i historii, pisze studia o Wolterze, o Utopiach. „O Epikureiźmie”, o „Poecie jako człowieku pierwotnym”, pracę p. t. „źródła moralności“, Historia chłopów polskich“, „Genealogia teraźniejszości” i inne. Jednocześnie ze wspomnianymi studiami powstają powieści, jak „Drygałowie“, „Nałęcze“, „Twinko“ i najcenniejsze w całej twórczości — dramaty, jak „Niewinni“, „Nieśmiertelne dusze“, „Helvia“, Błazen“, „Za maską”, „Piękna“, „Aspazja“ i „Duchy“.

W tej różnorodnej działalności pisarskiej zachowuje Świętochowski niezmąconą postawę myśliciela, intelektualisty, dociekającego uparcie prawdy. Dla tej logicznej, naukowej prawdy poświęca Świętochowski irracjonalną prawdę życia ludzi żywych, konstruuje postacie i zdarzenia, by dowieść słuszności pewnych tez filozoficznych i etycznych. Dlatego pełno w jego dramatach głębokich rozmów, wnikliwych dociekań, zawsze

spiętych nieskazitelną formą, dlatego pełno w tych utworach subtelnych paradoksów, dowcipnych aforyzmów, trafnych uwag rodzących się w każdej sytuacji, czy to w najkulturalniejszym towarzystwie ateńskim, gdzie wiodą rozmowę Aspazja, Perykles, Protagoras. Sofokles, czy w dworku szlachcica polskiego z połowy XVIII w., dlatego jednak niewiele w tych utworach ludzi wzruszających prawdą swoich uczuć. Bohaterzy utworów Świętochowskiego nie — zostają przez czytelnika „pożegnani łzami". Giną raczej w niepamięci. Zostają jednak głębokie uwagi o życiu zamknięte w pięknej formie. „*Stempel intelektualisty*", jaki krytyka oddawna dostrzegła w twórczości Świętochowskiego, nadaje jego spuściźnie pisarskiej jedyny, specjalny charakter. Wywołuje ona podziw *logiczną konstrukcją*, ale nie wzrusza i nie niepokoi, jak każde wielkie dzieło sztuki poczęte z serdecznej męki i pasji.

* *
*

Świętochowski jest pierwszym laureatem literackiej nagrody Łodzi (r. 1927). Miasto przeniknięte rytmem nieustannej pracy w zdobywaniu wartości materialnych, miasto ogarnięte pasją nieustannego produktywizmu złożyło w ten sposób hołd pisarzowi - intelektualiście, który w głębokiej kontemplacji próbował dojrzeć pod pianą przemijających spraw najgłębsze prawdy życia, który nie chciał „poruszać się jedynie ruchami gromady", ale w dumnym indywidualiźmie chciał „żyć dla siebie i przez siebie".

Związek Świętochowskiego z Łodzią rozpoczął się jednak znacznie wcześniej. Powstał on w tragicznych momentach lokautu łódzkiego w 1906 roku. Al. Świętochowski w imieniu Towarzystwa Kultury Polskiej zwrócił się wówczas do przemysłowców łódzkich z propozycją pojednania, złagodzenia skutków lokautu. Pisał wówczas Świętochowski: „Skutki lock-autu łódzkiego złożyły się na obraz tak okropny i wzburzający opinię publiczną tak dalece, że postanowiliśmy w Towarzystwie Kultury Polskiej podjąć próbę usunięcia ich przez dobrą wolę obywatelską natchnione, pośrednictwo między stronami. W tym celu wysłaliśmy delegację do Łodzi dla zbadania nastroju i żądań robotników, a chociaż znaleźliśmy wśród nich rozjątrzenie, nie zniechęciło nas ono do dalszych w tym kierunku usiłowań"...[2])

Do ugody nie doszło, Tow. Kultury Polskiej potępiło ostatecznie postawę przemysłowców, stwierdzając, że „lock-aut łódzki należy do najokrutniejszych aktów z historii walk kapitału z pracą". Al. Świętochowski nawiązał jednak wówczas przez szlachetną inicjatywę pojednania swoją *głęboką łączność z Łodzią*.

— — — — — — — —

A. Świętochowski już za życia przeszedł do historii, jak do historii przeszła cała epoka polskiego pozytywizmu, którego najcharakterystyczniejszym odzwierciedleniem była właśnie twórczość „Posła Prawdy". Była to epoka oparta na jednostronnym kulcie intelektualizmu, epoka dumna, zdobywcza, epoka która dużo *wiedziała*. Nikt nie potrafił ująć trafniej *tragedii* tej epoki, tak wiele *rozumiejącej*, ale niezdolnej przemówić do najgłębszych, metafizycznych tęsknot człowieka, jak to właśnie uczynił jej najwierniejszy apostoł. Al. Świętochowski, gdy przyznawał, że ludzkość mimo zdobytej *wiedzy* nie umie w swej małości odkryć *sama* najgłębszych praw rządzących życiem: „Gdyby zebrać te zmarnowane krople — powstałyby morza, gdyby stopić te iskry, powstałyby słońca, gdyby związać te ruchy, powstałyby potęgi, gdyby skupić te radości, powstałyby szczęścia, a tymczasem człowiek stoi wobec swych losów łaknący, ciemny, bezsilny i nieszczęśliwy".

J. Z. Jakubowski

---

[1]) Komentarz do Genezy tej bajki daje sam autor na wstępie, gdy pisze: „Wejście do przystani jeziora Konstancyeńskiego w Lindau strzeże lew kamienny, zaopatrzony w widniejące zdala śnieżne szczyty Alp Vorarlbergskich".

[2]) List w całości drukuje w interesującej pracy A Rżewski (Szlakami walki i buntu), gdzie podana jest historia wspomnianego lokautu.

Andrzej Strug

Śmierć Andrzeja Struga spadła na wszystkich jako cios nieoczekiwany i bardzo bolesny. Odczuliśmy ją tym głębiej, że należał Strug do tych nielicznych a znakomitych pisarzy, którzy w twórczości swej dotknęli zagadnień szarej, robotniczej Łodzi.

W naszym więc smutku po śmierci Andrzeja Struga było coś z wielkiego, może podświadomego

sentymentu, jaki mamy dla twórcy, który sięgnął w swym natchnieniu do tematu łódzkiego. Zresztą sentyment nasz dla pisarza nie jest oparty tylko na tym zewnętrznym, czysto formalnym kształcie, jak sięgnięcie do tematu.

Łódź — miasto pracy musi wytworzyć pewien przychylny, pełen troski stosunek do robotnika, do jego życia, do pragnień i światopoglądu. Nie mogą dla nas być obce, dalekie, obojętne sprawy, które są sprawami świata robotniczego. A o świecie tym niewiele twórców pisało, zresztą dla niektórych pozostał on nieprzenikniony i wbrew woli twórczej nie dający się ująć!

I oto Andrzej Strug potrafił w swej twórczej intuicji wniknąć w środowisko, które dla tych innych pisarzy musiałoby pozostać obce. Zadanie to było łatwiejsze dla Struga, gdyż w poczuciu prawdziwej ludzkości widział on w każdym człowieku jego człowieczeństwo, wynoszące jednostkę ponad świat materii.

Urodzony w dworze w Konstantynówce, uczęszczający do gimnazjum w Lublinie, później do Instytutu Puławskiego, pracuje Strug w tajnych kółkach uczniowskich, tutaj też czytuje bibuły rewolucyjne, czego szeroki obraz przedstawia w „Dziejach jednego pocisku". W latach 1905-6 bierze udział w ruchu rewolucyjnym, w r. 1907 aresztowany — przebywa przez pewien czas w Cytadeli, później w Archangielsku, skąd dzięki uchyleniu zesłania wyjeżdża zagranicę — do Paryża. W latach 1914 — 15 walczy w 1 pułku ułanów, otrzymując szereg odznaczeń wojskowych, więc order Virtuti Militari i Krzyż Walecznych.

Całe życie Andrzeja Struga poświęcone jest idei niepodległości związanej w owym czasie ze sprawą robotniczą. Cóż więc dziwnego, że ten wielki pisarz potrafił wniknąć w tajniki duszy polskiego robotnika?

Patrząc na postać Struga i twórczość jego która już przechodzi do historii literatury, jesteśmy, dziś właśnie, dziś jeszcze szczęśliwi, że Łódź, jako środowisko dała już raz widomy znak swego hołdu dla wielkiego twórcy, przyznając Strugowi w r. 1933 nagrodę literacką. Wspomnienie więc pozgonne Andrzeja Struga i ów głęboki sentyment, jaki czujemy w stosunku do pisarza, to tylko dawna nić łącząca Łódź z Andrzejem Strugiem.

Fakt ten należący do żywej, istniejącej, aktualnej rzeczywistości może utonąć kiedyś w powodzi życia i w jego falach przepływających ponad naszymi głowami, w których tylko pokolenia niby ogniwa łańcucha doczesnego podają sobie ręce.

Brak monografii o twórczości pisarskiej Struga zapewne wkrótce zostanie wypełniony odpowiednimi pracami. Pisali już o nim Czachowski, Dębicki, Galiński i inni. Rzecz jasna jednak, że wiele jeszcze czasu upłynąć musi, zanim potrafimy w pełni ująć, określić, a może całkowicie wniknąć i zrozumieć twórczość zmarłego pisarza. Dziś zbyt blisko będąc twórcy, nie potrafilibyśmy może zachować zupełnej, sprawiedliwej, wolnej od subiektywnych aspektów oceny. Tym bardziej, że Andrzej Strug reprezentuje typ twórcy, który ściśle związany z rzeczywistością polską nie uciekał od niej bezkrytycznie w sfery ideału, zachowując zaś swój własny sąd o całokształtcie splotów dnia codziennego — stał mocno przy wytkniętym celu, idąc drogą, której niejeden może nie zrozumie.

To pewne, że każdy z nas bez różnicy światopoglądu musi bezstronnie przyznać, iż tak życiem, jak i piórem Struga kierowała zawsze szlachetna myśl, iż słodko jest służyć i umrzeć dla ojczyzny. Nic też dziwnego, że zagadnieniom powstania styczniowego poświęcił on swoją książkę „Ojcowie nasi", która jest echem rozmów i gawęd o 1863 r. Fakt ten świadczy dobitnie, jak w okresie niewoli myśl o rewolucji styczniowej była ostoją i pociechą dla pisarza i tych, co z nim stanęli w szeregach w r. 1905, a potem w legionach.

Zresztą rok 1905 wyciśnie duże piętno na twórczości Struga. Poświęci mu autor jeszcze szereg utworów, więc wspomniane tu już „Dzieje jednego pocisku", „Ludzie podziemni", „Jutro" „W twardej służbie", wreszcie „Ze wspomnień starego sympatyka".

Dowodem niezłomnym, że ideowa przynależność pisarza uzależniona była zawsze i najgłębiej od dążności do niepodległości i niezawisłości polskiej — są echa walk legionowych w jego twórczości, które odnajdziemy w „Odznace za wierną służbę", w „Mogile nieznanego żołnierza", w „Kluczu otchłani", a wreszcie w „Żółtym Krzyżu". W utworach tych przesuną się bohaterstwo i wielkość, cienie i upadki moralne, tragizm wojny i nędza ducha. Autor sięgając często do ogólnoludzkich uczuć potrafi wstrząsnąć do głębi duszą człowieka. Dzieje się to szczególnie w niezrównanej, uznawanej już dziś za niedoścignioną w malowidle — powieści „Żółty Krzyż".

Uczciwość pisarska Struga, zawsze dokładne przemyślenie tematu opartego na solidnie zbieranych materiałach uczonych, budowa utworów zwarta, pełne mocy wysłowienie — i — wielkie, ludzkie prawdziwe uczucie, to cechy, które można podkreślić jako w najogólniejszych zarysach charakterystyczne dla dzieł Struga.

Mocnym wyrazem podstawy społecznej Struga były dwie jego powieści „Pieniądz“ i „Miliardy“. W nich autor zawarł argumentację swego światopoglądu, który był przede wszystkim światopoglądem człowieka uczciwego, oddanego w służbę idei.

Charakter twórczości, wnikanie w sprawy proletariackie, troska o dobro mas społecznych, wyraźne wspomnienia Łodzi, nagroda literacka naszego miasta z r. 1933 dla Struga, a wreszcie prawdziwy smutek po zgonie pisarza — to ogniwa wiążące na zawsze Łódź z pamięcią Andrzeja Struga.

Mieczysława Romankówna

Kazimierz Twardowski

We Lwowie zmarł w 72 roku życia wybitny filozof polski Kazimierz Twardowski. Kształcił się w Wiedniu, Lipsku, Monachium. W roku 1895 obejmuje katedrę filozofii w Uniwersytecie Lwowskim. W roku 1904 zakłada Polskie Towarzystwo Filozoficzne, w 1911 r. rozpoczyna wydawać miesięcznik „Ruch filozoficzny“. Ogłosił cały szereg rozpraw i artykułów, z większych osobno wydanych, prac godne wymienienia: „Wyobrażenia i pojęcia“, „O tak zwanych przedmiotach względnych“, „O metodzie psychologii“, „O filozofii średniowiecznej“...

Czynny na polu filozofii, psychologii i pedagogiki jest twórcą t. zw. „Lwowskiej szkoły“. Wywarł wpływ wielki na rozwój polskiej filozofii.

W roku 1936 otrzymał Kazimierz Twardowski „Nagrodę Naukową m. Łodzi“ za „całokształt pracy naukowej w dziedzinie filozofii“.

O.

Antoni Kasprowicz

Preludium

Piorunom powierzyłem swe płomienne słowa,
By grzmotu echem głuche porozsadzać skały
I wód ogromy spiętrzyć aż do chmurnych pował,
gdzie wicher śród błyskawic ryczy rozszalały.

Niech ziemia drży, niech dudni trawiona przez ogień
krwi rudej, którą syci swe stygnące wnętrze.
I pnie drzew potrzaskanych niech staną przed Bo-
[giem,
By wyszumieć bezgłośnie swe szumy najświętsze.

A kiedy wzejdzie zorza tragiczna w swej barwie,
By czeluść zniebieszczoną wchłonąć tajemniczo,
Srebrzysty księżyc zagra na złocistej harfie
I w głębi boru głodne niedźwiedzie zaryczą.

Kazimierz Sowiński

Zmęczenie

Wstanę znowu i jak wczoraj pójdę
trud kamienny dźwigać na barkach,
chociaż ciężko, chociaż coraz trudniej,
chociaż lęk się już do serca zakradł,

czy sił jeszcze na dzisiaj starczy,
czy się jutro znów zdołam podźwignąć,
co orzeźwi gorączkę warg mych,
kiedy siły w piersi wystygną?

Gdy zapadnę na spoczynek wreszcie
i zmęczenie ucieknie spod powiek,
znów zapytam o dzień jutrzejszy.—
Cóż mi, drogo kamienista, odpowiesz?

Krystyna Chruścielska

Podróż

Na granatowym niebie jasne świecą gwiazdy...
Świat jest w świetle księżyca dziwny, nieprawdziwy.
Rytmiczny turkot kół i świst lokomotywy,
Rozpoczynamy podróż daleką odjazdem.

Mijamy miasta, wsie w księżyca świetle śpiące,
Wirują złote iskry, szybko gasnąc w mroku,
Podróż nocą ma tyle wdzięku i uroku,
Koi nerwy spokojem, rytmem kół biegnących.

Wszystko wokoło nas jest pogrążone w ciszy,
Srebrne w świetle księżyca łąk i pól przestrzenie.
Rytmiczny turkot kół i świst lokomotywy.

W cichą i jasną noc do snu cię ukołysze.
Połączy w jeden sen noc, podróż i marzenie
Biegnących turkot kół rytmicznym leitmotywem

Poezja Mariana Piechala

A jednak Marian Piechal to największy poeta młodego pokolenia. Przychodzi się do tego przekonania, zastanawiając się dlaczego trzeba przeczytać od czasu do czasu jego *Elegie całopalne i Garść popiołu.* Choćby po raz setny. Dlaczego? Przecież w po-Leśmianowskim pokoleniu mamy obiecujących magów zielonej dziwności wyprutej z dna duszy; w pokoleniu po-Tuwimowskim mamy plejadę cyzelatorów słowa, jeśli nie akrobatów słowa; w pokoleniu po-Lechoniowym — wizjonerów przeszłości odbitej na ekranie świadomości narodowej i społecznej; w pokoleniu po-Staffowskim — poetów rozmodlonych urokiem wiersza wykwintnego i inteligentnego; przecież mamy wśród młodych-piewców wszelkiej witalności i piewców najcudniejszych wzruszeń mistycznych. Mamy takich, którzy imponują prostotą lub barokiem słowa, awangardowym skrótem myśli lub słowiańską rozlewnością.

Ale Piechal ma stanowisko jedyne: na swój własny sposób *lirycznie* wstrząsa sprawami, które poezja zwykła była zaklinać w falę epiki, w tentent dramatu, w retoryczny patos refleksji. Ponadczasowość i pęd historii, wszechobecność kultury, tajemne drogi legendy wysysającej szpik z rzeczywistości, wielka prawda o życiu i śmierci warującej przy ideałach zaledwie przeczuwanych, wielkość — wielkość i bohaterstwo ludzi i czasów — oto dno tematyczno-ideowe tej poezji, tak innej od wszystkiego i tak swojej.

Te sprawy w poezji Piechala *trwają;* są zatajoną lub odsłoniętą rzeczywistością *wszystkich* jego tomików, co trzeba podkreślić tym silniej, że tak zwana linia ideowa jego twórczości zatacza łuk; łuk, który świadczy, że poeta przechodzi ewolucję, zmienia się, pogłębia; w człowieczym poszukiwaniu prawdy, w człowieczej uczciwości wobec zdobytej prawdy — każe swojej poezji o niej świadczyć. Od *Krzyku z Miasta* po *Srebrną Wagę* to droga nie tylko poetyckich osiągnięć, ale osiągnięć najpiękniej ludzkich. Niewątpliwie zmieniają się poglądy społeczne czy polityczne młodego poety: nasilenie radykalizmu społecznego, koncepcja pacyfizmu, polityczne przechylenia i sympatie — a przecież *tamte* sprawy, leżące u dna wszystkiego, trwają, są zawsze głębią każdego poetyckiego szarpnięcia. Ich *poetycki dynamizm* bijący po przez lirykę Piechala ma swoje źródło zapewne w tym, że nie są one *tematem* poezji, ale faktem *osobowości* poety. Przy wielkim poetyckim rozwibrowaniu musi dojść do głosu *cała* osobowość; stąd w tych wierszach drga i historia i legenda i wielkość tak, jakby im samym właśnie dana była moc poetyckiego słowa. Stąd zapewne także brak w tej liryce tradycyjnych rozczuleń, stąd jej zakrzepłość, posągowość, spokój rzeczy wielkich i wiecznych.

Historia w poezji Piechala to nie szereg faktów, w sobie samodzielnych, a powiązanych kauzalnie. Nie z faktów się składa historia, przez

fakty historia się przejawia, przez fakty historia *przepływa* łożyskiem uchwytnej rzeczywistości. Przyłożyć ucho do faktu — to uchwycić kroki historii idącej z oddali wieków.

„..... most Księcia Józefa —
Tędy przeszła historia z Pragi do Warszawy,
Łącząc Polski rozbitej brzeg lewy i prawy,
lewą stronę przeszłości i prawą przyszłości
związała sznurem czasu tutaj
— na tym moście".

Nie prymitywna kauzalność, ale wielka *konstrukcja dramatu*, z klasycznym zawiązaniem akcji, perypetią i katastrofą, każe fakt historyczny przeżywać z pamięcią o dalekich antecedensach sprężonych historycznym dynamizmem. Stąd przedziwne u Piechala wybrzmienie tematu: postać czy fakt jest równocześnie sobą i nie-sobą; ma kontury jednostkowe, niemal uchwytne dotykiem i jakąś pozajednostkowość, jakieś dno prawdy płynnej a przecież zawsze niezmiennej.

„Oto jesteś melodią w żywy kształt zakrzepłą,
snem w ciało skrysztalonym, ideą wcieloną".

W tym dziwnym stosunku tematu do idei, nie ma nic z przebrzmiałego i doprawdy prymitywnego na nowoczesne gusty symbolizmu, owego zaklinania w „znak widzialny treści niewidzialnych". Jest to poetycki uchwyt tajemniczego związku pomiędzy *faktem* a *materią faktu*:

„Zapamiętać, że kwiat świat zawiera,
że motyl, to nie owad jest, ale litera".....

Wielka *jedność* zaciera granice pomiędzy przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. *Czas* widziany oczyma *wieczności*, i to, co czas wypluwa czy wypracowuje w ciągu zmienności wieków, stanowi jedną płaszczyznę, ogarniętą jednym widzeniem. W tej jednej płaszczyźnie nie ma żywych czy umarłych, triumfujących czy pokrzywdzonych — jest wspólnie przez wszystkich wypracowana *wielkość i świętość*. W „Nucie o Wawelu" czytamy:

„Otworzyła się ziemia i wszedłem w głąb skały,
i słyszałem jak w mrokach tysiąc lat szeleści.
Tu, gdzie wejść jest za życia łatwiej niż po śmierci.,
— — — — — — — — — —
na grobowce, co kryją prócz zewnętrznej pieśni
zgniliznę królów, wodzów, poetów i świętych,
niby na staroświeckie patrzę instrumenty,
z których brzmi, że kraj większy jest, niż w nim najwięksi".

Pochód wspólnych zdobyczy narastających wciąż wielkością i świętością osiągnięć tworzy istotę *kultury*. Bo kultura to nie tylko suma osiągnięć przykryta obrachunkiem niby wiekiem trumny — to przede wszystkim wielka prężność przeszłości, prężność której na imię *tradycja*, to docisk kształtotwórczy przeszłości na teraźniejszość. W takim pojęciu historii, kultury i tradycji nabiera doczesnego a przecież ponad czasowego sensu dogmat religijny o świętych obcowaniu; „wielkość truchła" karmi „łagodne owce", ale „powietrze gęste od aniołów" ma za zadanie walkę z podwawelskim smokiem, który „dotąd żywy drzemie", Przeszłość się nie zamyka w śmierci, to siła, która tworzy i urabia, to wieczna *teraźniejszość kultury*.

„Z tych w ziemi zgniłych trupów paru
Niewidzialna moc żywa, żywy w duchu kościół,
który związek miliona lat z tysiącem rozciął
i urabia ten tysiąc —"

Stąd własny kraj — *Ojczyzna* — to przeszłość i przyszłość; to równocześnie fakty i nieurodzone możliwości; to siły budzące odpowiedzialność moralną za czyn i za duchową postawę wobec prawdy.

„Jestem ziemia, powietrze, jestem woda, ogień,
czas, literami zmarłych w ziemi zapisany,
wszystko, co jest, co będzie i jeszcze odłogiem
leży w możliwościach nieopanowanych
albo, inaczej mówiąc, na pustyni palmą,
w której cieniu wędrowcy w siły się bogacą
i w tej wędrówce naprzód gwarancją moralną
i wreszcie możliwością pracy — samą pracą".

Ojczyzna — to wszystkość uchwytna okiem, uchem, duszą, sercem, sumieniem. Od owych żabek, „muzycznych cząstek ojczyzny", po żywioł ziemi, powietrza, wody, ognia i czasu, ogarnięty wielką godnością przeżycia, na którego dnie migoce fala historii i przeziera głąb narodowej tradycji. Stąd rzeczywistość polska nie może się zamknąć w ramach kraju, ani w życiu czy śmierci za jedno hasło. Jak historii nie można uwięzić w fakcie, tak Polski nie można uwięzić w pojęciu geograficznym. Polską są szlaki wymoszczone mogiłami Sybiru, bohaterstwem tych, co za Ojczyznę umierali nie tylko w stalowym pancerzu bohaterstwa.

„Ileż jeszcze nieznanych na obczyźnie drzemie
Zgniłych garstek ojczyzny, które pachną ogniem - ?"

Mit robotniczej bluzy, jak w ogóle żywioł radykalizmu społecznego u Piechala ma kształt odmienny od tego, do którego przyzwyczaiła nas tzw. poezja społeczna. To nie tradycyjne rozczulenie nad nędzą i krzywdą, nie materialistyczna koncepcja poprawy bytu „warstw pracujących" lub „podciąganie w górę" warstw niższych za pomocą strywializowanego sokratesostwa: „wiedza to cnota". To nie deklamacja o nędzy i efektowny apel o rewolucję. Z tych modnych w poezji tonów prędko wyrósł autor młodzieńczego *Krzyku z Miasta*. Radykalizm w poezji Piechala wyraża

się wiarą w pozytywną wartość i w pozytywne osiągnięcia kulturalne proletariatu. Wielkość, bohaterstwo, śmierć za ideał przeżyty choć na pół tylko uświadomiony nie pozwala myśleć o proletariacie kategoriami dobroczynnego demokratyzmu, a tym mniej wielkopańskiego liberalizmu. Nikogo nie trzeba podnosić; trzeba tylko po prostu uznać tych, którzy za powszechną sprawę dobra i kultury umieli pierwsi „polec od ognia"; są oni współtwórcami kultury. Nie ma wyższości i niższości. Nikt do nikogo nie potrzebuje się naginać ani o nikogo filantropijnie dbać. O równości decycyduje braterstwo w wielkości. Wielkość historii wzbiera i wybucha momentem i człowiekiem; momentem jednostki, jak Piłsudski, o imieniu podanym dziejom, jak i wielkością jednostek skazanych na bezimienność; wielkością ludzi,

„którzy tak pięknie i gorzko umarli
za coś lepsze od życia, mocniejsze nad śmierć"

Ton radykalizmu społecznego u Piechala to nie rozczulenie, zgryźliwość czy nutka rewolucjonizmu czy taniego reformatorstwa. To fala dumy i godności, płynąca przez tego, który się szczyci ojcowską schedą robotniczej bluzy. Charakterystyczny dla Piechala jest rozpęd *mitotwórczy*. Odczucie tożsamości prawdy i poezji porywa w ramiona jednostkowe zdarzenie, nadając mu rozmach mitu. W moc legendy przekształca się fala historii

„Z pielgrzymstwa ksiąg romantycznych, z ich przepojonych łzą liter,
Co było halucynacją zwolna stawało się mitem,
Co było skrzypem szubienic, haniebnym brzękiem łańcucha
Strunami grało nad krajem, budziło ciało i ducha
aż wybuchnęła pieśń żywa..."

Pieśń żywa w *micie o Piłsudskim*. Purpura ognia i purpura krwi, ofiara życia dla rzeczy, „dla których żyć nie warto, ale umrzeć warto" przekształca bohaterską śmierć robotników ratujących w pożarze zbiory pałacu dzikowskiego *w mit proletariatu*, w mit, który przeciwstawia się swoją wspaniałą szlachetną wielkością zaczątkom proletariackich mitów, których tłem bunt i upiór Szeli. Wyrwanie mitu proletariatu z ciasnych *ram klasowości*, z tonacji goryczy i buntu — a przeniesienie w horyzonty spraw społecznych, w tonację wzniosłości jest *nowym*, nawskroś współczesnym spojrzeniem w rzeczywistość. Ujęcie proletariatu jako siły kulturotwórczej, oderwanie go od dna upokorzeń i żebractwa, — rozpięcie jej na cudzie legendy i mitu, stanowi nieprzeparty poetycki urok *Garści popiołu*..

Najbardziej jednak mocna w poezji Piechala to *apoteoza wartości* przekraczających banalną wartość ludzkiego życia. Odczucie tych wartości wyprowadza poetę z odmętów pacyfizmu i prowadzi tego, który bolał nad „zbrodnią na polu „chwały" ku rozumieniu konieczności, dla których „głucha armata" staje się „straszliwym instrumentem chwały". Od tomiku do tomiku narasta katalog tych rzeczy za „które umrzeć warto". Maleje sprawa życia czy śmierci, ogromnieje to, co przerasta jednostkowość człowieka. *Wielkość* tym się legitymuje, że taumna przekształa się w „żywo wciąż pulsujące źródło"; *bohaterstwo* staje się normą etyczną życia. Bohaterstwo to kwestia nie wyjątku, lecz codzienności. Stać się musi chlebem powszednim: rzeczą oczywistą, nieodłączną od życia, niezmiernie prostą. To szlak ku któremu wiedzie milczący ciężar przodujących duchów — po kres.

„aż się wola wyrówna i bohaterstwo uprości,—
— żyć chcąc szerzej i wznioślej, umierać ciszej i prościej—!"

Twórczość Piechala to i szczyt i najgłębszy ton młodej polskiej poezji.

Stefania Skwarczyńska.

Rzeczywistość teatralna łódzka

Z drugiej części rozprawy Wiceprezydenta Antoniego Pączka dajemy pierwsze cztery rozdziały i samo zakończenie. Interesujących się życiem teatralnym Łodzi, a takich chyba znajdzie się przynajmniej garstka, odsyłamy do broszury wydanej nakładem Zarządu Miejskiego, obejmującej całą pracę Przewodniczącego Miejskiej Komisji Teatralnej, który tyle serca i zapału okazał, by rozwiązać na terenie Łodzi ów węzeł gordyjski, który nazywa się „teatr", zdobywając sobie szczerą wdzięczność tych wszystkich, którzy doceniają narodową doniosłość tej dziedziny życia kulturalnego.

Redakcja

Łódź należy do miast t. zw. „teatralnych" — nie w sensie teatralizacji publiczności, ale dlatego, że od dziesiątków już lat, z małymi przerwami, stale grywa tu jeden teatr lub nawet, jak bywało

czasami, kilka. Ale Łódź nie ma gmachu teatralnego — grywa się w budynkach, przystosowanych trochę do potrzeb teatru. Sceny są płytkie i bez boków, co utrudnia akcję większych zespołów i manipulowanie dekoracjami. Garderoby — to raczej komóreczki liche, ciasne, duszne, często zimne. Pracowni dekoratorskich i kostiumiarskich brak. Instalacje oświetlenia prymitywne i niedostateczne, a przecież światło odgrywa tak wielką rolę w teatrze nowoczesnym Również wiele pozostawiają do życzenia urządzenia wentylacyjne i do ogrzewania. Intendentura jest zdala od budynków „teatralnych". W dodatku budynki te są własnością prywatną. Jeden z nich dzierżawi samorząd u dzierżawcy, a więc z drugiej ręki. O inne troszczy się dyrekcja teatru.

A już przed laty podjął był samorząd budowę gmachu teatralnego. Wydatkowano dziesiątki tysięcy złotych! W wyniku tych prac były plany architektoniczne, zwieziono już nawet cegłę na plac budowy i zadołowano wapno, a było pono i trochę pieniędzy. Obecnie nie ma cegły, ani wapna, ani pieniędzy, ani nawet placu, bo i ten ma obecnie inne przeznaczenie, a plany leżą w archiwum!! Zwiezienie materiałów budowlanych na plac budowy, a później przewiezienie ich na inne miejsce kosztowało pono tysiące złotych.

I płaci miasto za dzierżawę jednego budynku teatru i składów 60 tysięcy złotych rocznie.

PUBLICZNOŚĆ TEATRALNA

A publiczność? W poprzednich rozdziałach, opierając się na statystyce urzędowej, stwierdziłem, że z biletów wykupionych w Polsce na koncerty, recytacje, przedstawienia teatralne i do kinematografów, tylko *co dziesiąty* bilet jest do teatrów i teatrzyków. W Łodzi „teatralnej" jest gorzej. Np. w latach 1935 i 1936 łączna suma wykupionych biletów do teatrów, teatrzyków i kinematografów osiągnęła cyfrę 13.145.000, z czego do teatrów tylko 867.000, a więc 6,6 proc. czyli *co piętnasty* bilet!! A do kinematografów 11.787.000, tj. 93,4 proc!! To znaczy, że każdy dorosły i dorastający obywatel Łodzi chodzi przynajmniej raz na miesiąc do kinematografu, a do teatru (polskiego i żydowskiego łącznie) mniej, niż jeden raz na rok!!

Tak sprawa przedstawia się w ogóle! Daleko jednak gorzej, jeżeli chodzi o publiczność polską. Ludność żydowska stanowi 33,5 proc. ogółu mieszkańców miasta, ale np. we wrześniu i październiku roku 1936, z pośród łącznej sumy biletów teatralnych, do teatru żydowskiego (żargonowego) sprzedano 44 proc. biletów. W półroczu: wrzesień 1937 — luty 1938 stosunek ten spadł do 35 proc., ale jednak w dalszym ciągu utrzymuje się powyżej stosunku procentowego ludności żydowskiej do ogółu mieszkańców A jeśli zważymy, że publiczność polska do teatru żydowskiego nie chodzi, bo nie rozumie języka, natomiast publiczność żydowska stanowi w teatrze polskim duży odsetek widzów, tedy będziemy mieli przerażający obraz małego uteatralnienia publiczności polskiej.

Naświetlmy teraz ten obraz ze stanowiska impoderabiliów polskich, o których mówi deklaracja lutowa płk. Koca, poparta przez najwyższe w państwie czynniki i zestawmy go z pięknym zdaniem Mickiewicza o wartości słowa — w danym wypadku żywego słowa polskiego — i z wizją Wyspiańskiego: „Teatr mój widzę ogromny", a wnioski nasuną się same. Streścić je można następująco: oprócz posunięć, o których mówiłem w rozdziałach poprzednich, *należy uczynić wszystko w kierunku wciągnięcia do teatru żywego szerszych kół społeczeństwa polskiego.*

WŁAŚCIWA DROGA

Na tę właśnie drogę wkroczył Zarząd Miejski od sezonu 1937/38, zrywając z tradycją lat poprzednich i kładąc główny nacisk na wciągnięcie do teatru publiczności peryferyjnej. Stanowisko Zarządu Miejskiego znalazło pełne zrozumienie u dyrekcji teatrów łódzkich. Zwiększenie faktycznego zasięgu teatru odbywa się przez: a) grę na scenie Teatru Popularnego (stale) i periodycznie na trzech scenach teatrów peryferyjnych, b) organizowanie widowni teatralnych drogą współpracy z instytucjami społecznymi, zawodowymi, kulturalno-oświatowymi etc. oraz rozpowszechnianie abonamentów robotniczych, szkolnych itp., c) skierowanie na sceny peryferyjne (Łódź pierwsza w Polsce!) i Teatru Popularnego nawet najlepszych sił aktorskich, aby przyzwyczaić publiczność do wyższego, niż dawniej, poziomu artystycznego na scenach popularnych i podkreślić wobec widzów przedmieść, że traktuje się ich teatry na równi ze śródmiejskimi, d) ułatwienie widzom z przedmieść (i w ogóle ludziom pracy), drogą wcześniejszego rozpoczynania przedstawień zorganizowanych i abonamentowych, oraz niskością cen wstępu, bywania w teatrach śródmiejskich na sztukach takich, których ze względów technicznych na scenach popularnych wystawić nie można, e) urozmaicenie repertuaru i staranną oprawę oraz przenoszenie sztuk, o ile to jest

technicznie możliwe, w obrębie sześciu prowadzonych scen.

Prace te w sezonie obecnym w sposób właściwy dopiero zapoczątkowano, ale rezultaty, mimo zaobserwowanego kurczenia się kontyngentu publiczności żydowskiej w teatrach polskich, są imponujące. W ciągu ośmiu miesięcy 896 spektakle i 272.511 widzów! Takich cyfr w żadnym z poprzednich lat (*całych* lat) nie było! Kto przyjrzał się z bliska technice pracy teatru, ten zrozumie, jak wielkiego wysiłku dokonał zespolony teatr łódzki (polski) na 2 śródmiejskich i 4 popularnych scenach, jak wielką pracę zespołu aktorskiego, reżyserów, dekoratorów i personelu technicznego cyfry te reprezentują.

To też łódzka publiczność teatralna (tym razem bez cudzysłowa) zaczyna kochać swój nowy teatr — przestaje się powoli entuzjazmować zespołami obcymi, występującymi gościnnie, zarysowuje się pewien patriotyzm w stosunku do teatru własnego, czego świadectwem są cyfry następujące: w ciągu omówionych 8 miesięcy (wrzesień 1937 — kwiecień 1938) było 10 występów zespołów obcych (balet Parnela — 3 razy 940 widzów. balet Cieplińskiego 125 widzów, występ Manueli del Rio 89 widzów, 5 występów operetki — 475 widzów), które osiągnęły łącznie 1629 widzów, czyli przeciętnie 163 osoby na przedstawienie, gdy przeciętna na jedno przedstawienie własne zespołu teatrów łódzkich wynosi: w teatrach popularnych 195, śródmiejskich, gdzie właśnie obce zespoły występowały, 365, w ogóle zaś we wszystkich teatrach — 306. Jest to objaw ogólny, gdyż operetka w sali Geyera na 2 przedstawienia ściągnęła tylko 262 widzów, tj. po 131 osób na jeden spektakl, a więc o 64 widzów poniżej przeciętnej dla teatrów popularnych.

FREKWENCJA I CENY BILETÓW

Jest to pocieszające, ale sytuacji finansowej teatru łódzkiego nie ratuje, gdyż tej publiczności teatralnej jest mało, wskutek czego przeciętnie tylko $^1/_3$ miejsc bywa zajęta, a $^2/_3$ widowni świecą pustkami, w dodatku zaś ceny wstępu do teatrów łódzkich są niższe od cen warszawskich, lwowskich, krakowskich i poznańskich. A podwyższyć cen biletów nie można, gdy się pragnie rozszerzyć zasięg teatru na mniej zamożną publiczność naszych przedmieść i gdy jest tak wielka, z powodu braku polityki teatralnej w państwie i błędów w dziedzinie podatku widowiskowego, konkurencja ze strony kinematografów. Zresztą wysokość cen biletów, jeżeli przekroczy się pewne dopuszczalne granice, ma wpływ na frekwencję. Opierając się na urzędowych danych, stwierdziłem, że np. w roku 1936, wszędzie, gdzie podniesiono ceny biletów, frekwencja spadła, gdzie je obniżono — podniosła się. Ale jak przekroczenie granic górnych cen biletów zmniejsza frekwencję, tak zejście poniżej norm dolnych podcina byt teatru. A ponieważ w Łodzi cen biletów obniżyć już nie można, gdyż z powodu kryzysu i konkurencji pomiędzy teatrem śródmiejskim a popularnym w latach ubiegłych znalazły się one na najniższym poziomie, tedy *jedyna droga, jaką ma teatr łódzki przed sobą — to wciągnięcie do teatru w sposób zorganizowany coraz szerszych kół publiczności*, znajdującej się poza zasięgiem teatru. Akcja taka pokrywa się z intencją Zarządu Miejskiego, z rolą żywego polskiego teatru i wymogami podstawowymi kultury polskiej.

PRACA PIONIERSKA

Ale obejmowanie przez teatr coraz szerszych kół publiczności jest w Łodzi, jak w całej Polsce, pracą pionierską, Łódź bowiem, mimo półwiekowej tradycji, gdy mowa o istnieniu teatru stałego, nie jest jeszcze miastem teatralnym. Twierdzenie to może być dla teatromanów łódzkich przykre, lecz oparte jest na faktach i cyfrach.

Może tu nasunąć się pytanie: dlaczego Łódź nie zdołała zainteresować teatrem szerszych kół publiczności. Odpowiem z góry. Nie dlatego, aby publiczność łódzka, zwłaszcza polska, była ze stanowiska teatru materiałem złym, lecz dlatego, że *zanim szersze koła społeczeństwa łódzkiego miały możność zetknięcia się z teatrem, już je wciągnęło w swoją orbitę kino.* Kto chodził przed wojną do teatru, ten uczęszcza obecnie do kinematografu, ale teatru nie opuści. Ogromna jednak większość bywalców kinematograficznych nie wie, co to jest teatr, gdyż w dobie istnienia *tylko* teatru była poza jego zasięgiem. Gdy zaś dzięki dokonanym w ostatnim dwudziestoleciu przemianom społecznym szerokie masy wyszły ze stanu izolacji kulturalnej i mogły wesprzeć liczbą swoją teatr, dostępny dawniej tylko wybranym, już czyhało na nie kino, wciągając je w swoją orbitę.

Tak jest w całej Polsce i tak jest w Łodzi. A obok przyczyn natury ogólnej istnieją w Łodzi jeszcze inne, które tłumaczą nam brak odpowiednio licznego kontyngentu publiczności teatralnej. Są to przyczyny następujące:

1) w ciągu wielu dziesiątków lat teatr łódzki nie sięgał poza rogatki miasta, tak ze względów komunikacyjnych, jak i administracyj-

nych. W dobie powstania w Łodzi teatru stałego obszar miasta wynosił 2739 hektarów, obecnie 5875. Liczba mieszkańców kształtowała się wtedy w cyfrach poniżej 300 tysięcy obecnie sięga 650 tysięcy. W dodatku dzięki wojnie i częstym w Łodzi trudnościom koniunkturalnym przypływ i odpływ ludności przekształcił wielokrotnie oblicze publiczności łódzkiej i gdyby nawet nie było zmian terytorialnych, również byłby widoczny brak wpływu półwiecza istnienia teatru na mieszkańców Łodzi;

2) wskutek częstych zmian ludnościowych nie wytworzył się jeszcze taki typ patrioty miejskiego (jaki istnieje w Krakowie, Lwowie, Poznaniu itd. a nawet w Warszawie), który by pragnął dla miasta swojego *tylko rzeczy najbardziej wartościowych*, wskutek czego możliwe jest tworzenie teatrzyków amatorskich — właśnie w okresie istnienia dobrego teatru — i zazdrosne chronienie tych „teatrzyków" przez dyrekcje przedsiębiorstw. Wskutek takiego stanowiska jednej z największych firm łódzkich, (a nie jest to firma jedyna!) kilkanaście tysięcy robotników (wraz z rodzinami całe miasto!), odciętych jest od dobrego teatru i skazanych na spożywanie kiepskiej namiastki teatralnej, jak w jakim Pikutkowie.

Takie same ambicje posiadania własnych „teatrów" amatorskich mają i różne organizacje zawodowe, „kulturalno - oświatowe", a nawet polityczne. Świadczy to nie tylko o braku kultury teatralnej, lecz i o złym, prawdopodobnie wskutek nieświadomości, stosunku organizatorów „teatrów" amatorskich do zawodu aktorskiego. Nie wiedzą oni, że zawód aktorski jest takim samym zawodem, jak każdy inny dobry zawód, że od nowego pokolenia aktorów wymaga się, aby ukończyli „Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej", w którym nauka trwa 3 lata i do którego przyjmuje się na podstawie egzaminu wstępnego tylko kandydatów z maturą gimnazjalną — obecnie licealną. Wymagania zaś są wielkie i coraz większe. Np. aktor komediowo-dramatyczny musi umieć gospodarować swoim głosem (to znaczy także śpiewać) i tańczyć, reżyser musi składać egzaminy specjalne, sztuka dekoratorska wymaga specjalnych studiów. Absolwent „Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej" nie uzyskuje zaraz praw aktora, lecz przejść musi praktykę teatralną w roli aspiranta. Nawet stolarz czy elektrotechnik teatralny jest czymś innym, niż jego kolega, ten sam zawód uprawiający.

Gdy więc w dobie obwarowywania praw swoich i przywilejów przez poszczególne zawody, organizacje społeczne tworzą „teatry" amatorskie i podcinają byt teatru, nie można tego nazwać inaczej, jak krzywdą, zawodowi aktorskiemu wyrządzoną. A aktor — to taki sam człowiek, jak każdy inny. Musi jeść, ubierać się, mieszkać, czytać książki, zwłaszcza fachowe, gazety, płacić składki do swojej organizacji zawodowej itd. Gdy nie pracuje, żyje w nędzy. Jeżeli więc „teatrzyki" amatorskie urządzają przedstawienia płatne na swoje potrzeby czy inne „cele", to nie tylko odbierają widzów teatrowi, lecz i opróżniają kieszenie publiczności z tych pieniędzy, które przeznaczone są na rozrywki kulturalne, *pomniejszają więc źródło, z którego teatry czerpać mogą pieniądze na utrzymanie aktorów, reżyserów, dekoratorów, robotników teatralnych, autorów tj. wszystkich ludzi, pracujących w teatrze i z niego żyjących*;

3) w okresie niepodległości teatr łódzki szedł drogą utartą, nie stawiał sobie za cel zdobycia mieszkańców przedmieść, nie orientował się jeszcze, że dla dobra własnego i kultury polskiej należy punkt oparcia przenieść częściowo ze śródmieścia na peryferie miasta, to znaczy wytworzyć taką sytuację, aby — bazując się na śródmieściu — *pracować przede wszystkim dla przedmieść i możliwie na przedmieściach, tak przez grę na scenach peryferyjnych, jak i przez umożliwienie mieszkańcom przedmieść bywania w lepszych, ze stanowiska technicznego, teatrach śródmiejskich.*

* * *

Kończąc moje uwagi na temat rzeczywistości teatralnej w Polsce i w Łodzi, pragnę przypomnieć, iż dając mojemu artykułowi podtytuł: „Zarysy fragmentów", z góry podkreśliłem, że nie mam zamiaru tematu w jednym artykule wyczerpać, Nie poruszyłem więc ani spraw repertuaru, ani artystycznych — nie podjąłem rozważań na temat krzyżujących się w teatrze kierunków lub ścierających się w sferach teatralnych poglądów na rolę sztuki teatralnej w ogóle, kwestie zaś techniczne dotknąłem z lekka, obszerniej natomiast potraktowałem zagadnienie finansowe, jako w dobie obecnej, zdaniem moim, najistotniejsze, a naj-

mniej omawiane — i kwestię bytu żywego teatru polskiego, zagrożonego przez konkurencję sztuki kinematograficznej, będącej w 90 przeszło procentach dziełem wytwórni obcych, mających ośrodki dyspozycji za granicą. Poświęcenie więcej miejsca Łodzi — nie wymaga uzasadnienia.

Ponieważ kwestia unarodowienia zagadnień i prac kulturalnych w Polsce postawiona została wyraźnie w deklaracji płk. Koca, za którą opowiedział się publicznie Pan Prezydent Rzeczypospolitej, mający wówczas obok siebie Marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza, tedy wszelkie kroki, zmierzające ku realizacji postulatu tej autoratywnej enuncjacji, stają się konieczne, tym bardziej, że życie woła o nie

Państwowa polityka teatralna — jako krok pierwszy — oto hasło chwili obecnej.

Antoni Pączek
wiceprezydent miasta Łodzi
Przewodniczący Miejskiej Komisji Teatralnej

Oddech Łodzi

Sprawa ogrodów publicznych, a przede wszystkim parków ludowych, to wielkie zagadnienie Łodzi. Aby właśnie nie na starych śmietnikach lub jałowych, pustych placach mogły znaleźć miejsce wypoczynku najszersze rzesze proletariackiego miasta. I trzeba stwierdzić, że w tym kierunku robi się nie mało. Choć w tej dziedzinie należy uwzględnić jeden podstawowy czynnik, niezależny od najlepszej ludzkiej woli — długi okres lat, którego wymaga roślinność dla swego rozrostu. Nie mamy hinduskich jogów, którzy ponoć umieją pobudzić drzewa i krzewy, aby rosły w oczach.

Dawniej, w okresie Reymontowej „Ziemi obiecanej" Łódź miała tylko Helenów i szczyciła się nim. Ale ten park piękny, tonący w gęstwinie starodrzewu, malowniczo rozłożony tarasami, nie był i nie jest i dziś jeszcze dostępny dla biedaków. Zresztą podówczas problem zieleni nie był tak palący. Miasto w wielu swych dzielnicach było raczej wielką, rozległą wsią. Małe, przeważnie drewniane domki, wszędzie ogródki i duże przestrzenie niezabudowane dawały dostęp powietrzu, płynącemu z wielkich okolicznych lasów. Tymczasem szły dziesięciolecia, Łódź rozbudowywała się, rosły kamienice i ulice, kominy wystrzeliwały ku niebu. Stawało się coraz duszniej i ciaśniej.

Gospodarka zaborcza nie bardzo się tym przejmowała. Zapuszczony niewielki park kolejowy przy dworcu fabrycznym i również mały, choć piękny t. zw. park Mikołajewski (dziś Sienkiewicza) założony w r. 1898 — a więc w tym roku przypada czterdziestolecie jego istnienia — przez długi czas to było wszystko w tej dziedzinie. Dopiero na kilka lat przed wojną założono ładnie rozplanowany, obszerny park publiczny przy szkole przemysłowej, obecnie park im. Poniatowskiego. To było bodaj jedyne twórcze dzieło niefortunnych, fatalnych dla Łodzi rządów prezydenta Pieńkowskiego. Dziś park ten rozrósł się, rozwinął i jest prawdziwą chlubą miasta. Ale to zaledwie niewielka cząsteczka ogromnych potrzeb odnośnych polskiego Manchesteru.

Te luki usuwają poczynania Samorządu w ostatnich latach.

Prawdziwie gigantycznym dziełem jest założenie parku ludowego im. Józefa Piłsudskiego na Polesiu Konstantynowskim. To największy park publiczny nie tylko w Łodzi, ale bodaj w całej Europie. Mieści się on na terenie dawnego lasu widzewskiego, przetrzebionego katastrofalnie w czasie wojny. Ocalałe drzewa stanowią podstawę tego olbrzyma, zajmującego już obecnie przestrzeń oddaną do użytku publiczności około 200 ha, to znaczy blisko 14 włók. A cały obszar jego obejmować będzie 300 ha.

Jaki to jest ogrom, zobrazuje to nam zestawienie, które stwierdza, że nawet tak wielki park, jak Poniatowskiego, obejmuje 51 ha, to znaczy 6 razy mniej, park Staszica 4 ha, Sienkiewicza 3 ha (100 razy mniej), park Źródliska 10 ha. Park ludowy na Polesiu sam zajmuje przestrzeń przeszło 2 razy większą, niż wszystkie inne ogrody i parki publiczne naszego miasta razem wzięte.

Park ten jest młody, jeszcze nie rozwija całej swej okazałości i przepychu szaty roślinnej. Ale stanowi on już dziś wspaniałe miejsce wypoczynku i odetchnienia, wielką bazę ciszy, spokoju i pełni wolnego, świeżego powietrza, miejsce idealne przechadzek.

Piękny również jest park 3-go Maja na Widzewie, niemały, gdyż obejmujący przestrzeń 23 ha, a więc prawie 6-krotnie większy, niż park Staszica. Wypełnia on dotkliwy brak publicznego ogrodu w tej dzielnicy robotniczej.

Godnym szczerego uznania poczynaniem miasta było wykupienie publicznego parku w Julianowie z rąk prywatnych. Niedługo będzie on oddany już do użytku publicznego. Rozległy i piękny ten park, w znacznej swej części stanowiący naturalny, wspaniały, pełen starodrzewu las, z dość dużym stawem, na którym można oddawać się rozkoszom wioślarstwa, będzie prawdziwym dobrodziejstwem, dla okolicznego Radogoszcza i sąsiednich Bałut, dotychczas pozbawionych miejskiego ogrodu, dostępnego dla wszystkich. W ciepłe dni wiosny i lata mieszkańcy tutejsi chmarami ciągnęli aż do odległych o 8 klm łagiewnickich lasów celem odpoczynku.

Zaznaczyć należy, że obecnie najpiękniejsza część lasów łagiewnickich uznana została jako rezerwat i w ten sposób uchroniona będzie na zawsze od niszczycielstwa wyrębu i zeszpecenia zabudowaniami.

Dzielnica zakładów Scheiblerowskich posiada dość duży i wyrwany z dawnego zaniedbania park Źródliska, wykupiony przez miasto i oddany do użytku publicznego.

W tych oazach zieleni może odpoczywać, koić stargane wielkomiejskim wirem nerwy, krzepić siły Łódź pracująca, Łódź ciężkiego trudu, Łódź robotnicza, dla której stanowią one istne zbiorniki zdrowia, radości i wesela.

Czesław Gumkowski

Założenia twórczości Franciszka Walczowskiego

Twórczość Franciszka Walczowskiego odpowiada takiemu właśnie ujęciu zasady sztuki. — Patrząc na te barwne kartony, widzimy wszędzie głębokie wniknięcie w rzeczywistość zewnętrzną. — Patrząc na pejzaż widzimy prawdę ziemi, wyczutą szczerze i głęboko. — Teren faluje w rytmy zgodne z logiką ziemi; drzewa rosną podług praw rośliny; architektura wyraża statykę budownictwa i t. d.; a w tym wszystkim króluje człowiek, jako ten czynnik, który sens wyznacza całej przyrodzie — jako ten Adam biblijny, który rzeczom i stworzeniom nadaje „imiona“.

Elementy świata zewnętrznego, przedstawione zgodnie ze swoją własną naturą, nie stanowią rzeczywistego sensu obrazu; ten sens tkwi w czynniku, który je łączy i organizuje — ten sens tkwi zatem w tak zw. „kompozycji”. — Nie mamy tu owej przypadkowości, jaka cechuje obrazy z okresu impresjonizmu; wszystko jest uporządkowane, zrytmizowane tak, jak uporządkowane i zrytmizowane są twory muzyczne, poetyckie, czy taneczne — ale równocześnie wszystko jest „prawdziwe“ jest zgodne z logiką rzeczy zmysłowo postrzegalnych. — Pełny szacunek dla świata zewnętrznego i pełny szacunek dla świata wewnętrznego — oto charakterystyka prawdziwej sztuki — oto najgłębsza zasada budowania formy „zmysłowo-nadzmysłowej”.

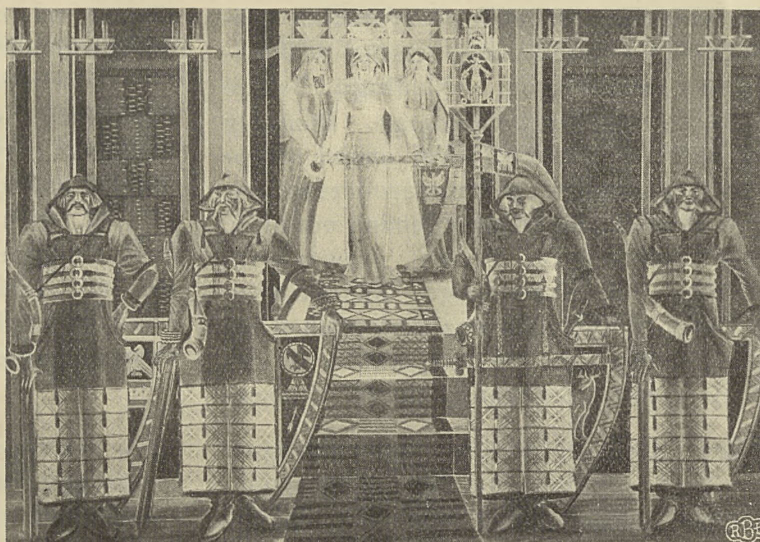
Franciszek Walczowski nie tworzy ułudy, nie tworzy kunsztownych igraszek, nie intryguje niczem, nie wymyśla niczego, nie eksperymentuje, nie lubuje się samemi wrażeniami, nie uprawia smakoszostwa, nie „estetyzuje“ — ale wyraża i współtworzy tę rzeczywistość, jaka go otacza i tę rzeczywistość, jaka w nim żyje — — — a jest to, siłą rzeczy *rzeczywistość polska*. — Walczowski wyżywa się cały w rzeczywistości *konkretnej*, i dlatego tworzy na założeniach narodowych; bo tylko abstrakcyjne pojęcia są oderwane od miejsca i czasu, a przeto a-narodowe, kosmopolityczne.

* * *

Pisząc tych kilka, krótkich uwag, nie chcę „krytykować” ani „chwalić“, nie chcę szanować, przymierzać — nie chcę mierzyć wielkości, czy wartości danego dzieła; pragnę tylko wskazać, że obrazy Walczowskiego powstały istotnie na takich założeniach, jakie omówiłem powyżej, i dlatego poczuciem i myślą odnoszę się do nich jako do rzetelnych tworów artystycznych.

Mówiłem, że kształt artystyczny jest symboliczną realizacją — jest niejako dokonaniem pełnej rzeczywistości, która, sama w sobie, jest staniem się — jest „in statu nascendi”. — Sztuka

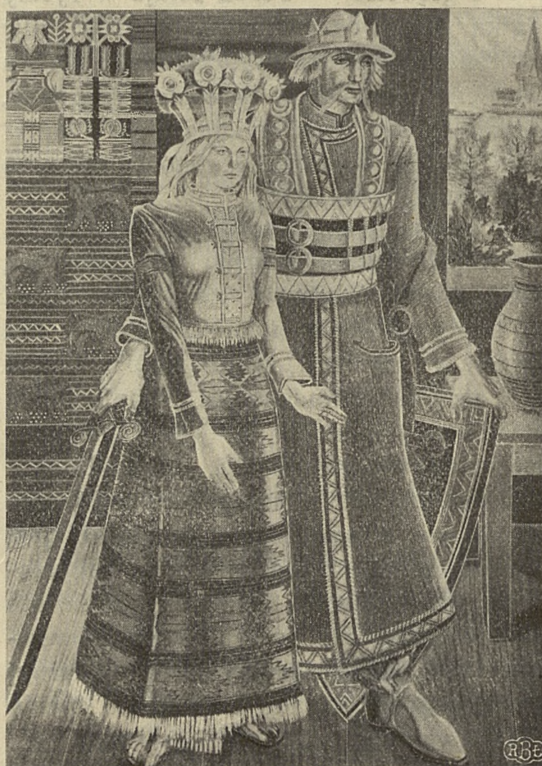
jest tedy jakby antycypacją, jest symbolicznym uzgodnieniem rzeczy jeszcze nieuzgodnionych, jest ciągłym harmonizowaniem dyssonansów. — Sztuka jest zatem walką, jest zmaganiem się artysty, jest tęsknotą do rzeczy jeszcze nieosiągalnych — i w tym znaczeniu jest wiecznym szukaniem.



Franciszek Walczowski

„Dwór Wandy"

Ta właśnie walka, te poszukiwania znajdują swój wyraz w pracach Walczowskiego. — Mamy tu całą skalę rozwiązań, od takich począwszy, jak: „Mądrość Ziemi" aż do takich jak „Dwór Wandy". — Pierwsze wychodzi z prawdy zewnętrznej i pragnie pokazać ideę niejako utajoną w rzeczach; drugie wychodzi z kompozycji, wychodzi jakby z melodii plam i linij, i w takt tej melodii grupuje elementy świata zewnętrznego. — Możnaby też powiedzieć, że kartony pierwszego typu budowane są na założeniach raczej realistycznych, kartony zaś drugiego, na założeniach raczej dekoracyjnych (czyli ornamentalnych).



Franciszek Walczowski

„Naród i Państwo"

Nie czuję się powołanym do tego, aby rozstrzygać, które z tych dwóch założeń są „lepsze„, czy „wartościowsze“. — Sądzę, że jedne i drugie są uzasadnione — uzasadnione, powiedziałbym, na dzisiaj; myślę bowiem, że w przyszłości — może w bardzo dalekiej przyszłości — musi wyłonić się taka forma artystyczna, która potrafi obydwa te punkty wyjścia tak ze sobą stopić, że zaniknie wszelka rozbieżność (jaka dzisiaj istnieje) pomiędzy światem zewnętrznym, a światem wewnętrznym, pomiędzy prawdą obrazu realistycznego a prawdą ornamentu.

Walczowski tęskni do takiej formy, ale jej naturalnie nie osiąga, bo nikt jej dzisiaj jeszcze osiągnąć nie może. — Ta rozbieżność dwóch możliwych punktów wyjścia stanowi podstawowy temat jego wysiłków. Wyraża się to także i w tej postaci, że Walczowski nie chce się zrzec ani realistycznej trójwymiarowości, ani ornamentalnej płaskości ujęcia. Zupełnie świadomie szuka on sharmonizowania na jednej kartce papieru płaskości z bryłowatością. Kto ten problem wewnętrznie przeżył, kto szczerze ukochał naturę w jej przestrzenności materialnej, i szczerze ukochał pieśń ornamentalną w jej bezprzestrzenności niematerialnej, ten odniesie się z najwyższym szacunkiem do wysiłków Walczowskiego i do jego osiągnięć.



Franciszek Walczowski

„Wola i Uczucie"

Zapewne problem ten nie został nigdzie w pełni rozwiązany. Patrząc na kompozycje Walczowskiego, czujemy pewien niepokój, czujemy zmaganie wewnętrzne i zewnętrzne — ale, czyż może być inaczej? Czyż walka o takie rzeczy nie jest właśnie tą walką najpłodniejszą?

* * *

W związku z tymi ostatnimi rozważaniami, chciałbym zwrócić uwagę na jedną cechę twórczości Walczowskiego — na cechę, która go wyróżnia już nawet formalnie wśród dzisiejszych plastyków.

Walczowski rozwiązując swoje postacie, daje im najczęściej stroje, skomponowane w taki sposób, aby rytmem swoim wyrażały ideę danej postaci. — Strój taki jest pewną koncepcją ornamentalną, która ma stać się wyrazem samego człowieka; jest to niejako ornamentalne wyrażenie człowieka. — Mamy tu problem bardzo głęboki, którego nie mogę jednak obecnie, w ramach krótkiego artykułu rozwinąć (w moich pracach teoretycznych starałem się tę sprawę oświetlić). — Z konieczności ograniczę się więc do krótkiej uwagi, że problem ten jest przez Walczowskiego podjęty i przeprowadzony z wielkiem poczuciem



Franciszek Walczowski

„Ożywiający dźwięk"

ważności i głębokości sprawy. — Fakt ten wyróżnia Walczowskiego, jak zaznaczyłem, spośród wszystkich znanych mi plastyków.

Jeżeli wczujemy się w początki sztuki plastycznej, jeżeli dobrze wnikniemy w to, co dała w tej dziedzinie epoka kamienna — i zapytamy, co było przedtem? co było na samym początku sztuki człowieczej? to może dojdziemy do przekonania, że na początku było wyrażanie samego człowieka przy pomocy linij i plam na powierzchni ciała rozłożonych. — Był to może jakiś rodzaj tatuażu, czy stroju — było to coś analogicznego, do zdobnictwa, jakie widzimy na skrzydłach ptaków, motyli, na łuskach ryb, płazów itp. — Człowiek, kierowany nieświadomym, ale głębokim poczuciem swojego człowieczego sensu, kreślił arabeski na własnym ciele i wyrażał w ten sposób siebie — wyrażał człowieka. — Można wyczuć, że na początku istniał jakiś ornament, który wyrażał człowieka.

Nie będę opisywał dalszych dziejów sztuki plastycznej, ale pragnę na zakończenie postawić pytanie — pytanie może dziwne, dla wielu moze bezsensowne, ale dla mnie bardzo ważne, bardzo istotne: czy na końcu sztuki człowieczej nie może przyjść — czy nie musi przyjść powtórzenie tego, co było na początku? oczywiście, na wyższej platformie, a przede wszystkim prześwietlone świadomością; czy na końcu sztuki plastycznej nie może — czy nie musi przyjść wyrażanie człowieka mową ornamentalną?

Jeżell rzecz taka powstanie, to powstać ona może tylko w dalekiej, bardzo dalekiej przyszłości — ale wydaje mi się rzeczą bardzo ważną wskazać na to, że w sztuce Walczowskiego widzimy wyraźny i świadomy wysiłek w tym właśnie kierunku.

Karol Homolacs

Stanisław Moniuszko

W czasach, kiedy poczucie wspólnoty narodowej wzrasta i mocną falą wytycza nowe drogi przyszłości, dobrze jest wrócić do źródeł tych sił: epoki romantycznej do pierwszych twórców i orędowników sztuki narodowej. A wśród nich obok Chopina, Norwida, Mickiewicza, Słowackiego znajdziemy i nazwisko St. Moniuszki.

On to przez stworzenie pierwszej polskiej opery narodowej i polskiej pieśni artystycznej wypełnił istniejące do jego czasów braki w tej dziedzinie i dumne powiedzenie rejowskie: „a niechaj narodowie wżdy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają" z zapowiedzi w czyn zamienił.

Atmosfera polskości bije z jego utworów szczerymi akcentami prawdy i prostoty. Nie bez znaczenia były tu czasy dzieciństwa, spędzone wśród wiejskich stosunków w skromnym zaścian-

ku Ubiel koło Mińska i opowiadania ojca — dawnego żołnierza—, którego legendy zasłyszane przy kominku znalazły tak serdeczny oddźwięk w najlepszej operze Moniuszki „Straszny Dwór“. Poza tym wielki wpływ na kierunek jego twórczości wywarło wzmożone naówczas tętno życia narodowego Polski.

Stanisław Moniuszko, pisząc swoje opery, pieśni, starał się w nich przedstawić muzycznie, słownie i widowiskowo fragmenty życia polskiego. Mamy więc, pełną wzruszających akcentów, atmosferę starego dworku na Litwie, z dwoma jego gospodarzami, przysięgłymi starymi kawalerami—to „Straszny Dwór“, dramat wiejskiej dziewczyny, która pokochała nieopatrznie pięknego panicza z dworu—to op. „Halka“, ironię na panującą wówczas w Polsce modę francuszczyzny—to op. „Hrabina“, dzieje Polski, obrzędy, obyczaje — to rozliczne pieśni. Widzimy więc jak bogatą w tematy narodowe była twórczość tego kompozytora.

Dzieła Moniuszki poza swym pionierskim charakterem są do dnia dzisiejszego podstawą literatury wokalnej we wszystkich jej odmianach, jak opera, pieśń chóralna, pieśń solowa. Pisać utwory do śpiewu nie jest rzeczą łatwą. Kompozytor wciąż musi się liczyć z możliwościami wykonawczymi śpiewaków i nieraz na ich rzecz rezygnować ze śmielszych połączeń harmonicznych, czy melodyjnych. Wydając sąd o „Halce“, musimy wciąż pamiętać o tym, że była ona wykonana po raz pierwszy w Wilnie, siłami amatorów i że Moniuszko zmuszony był poczynić pewne koncesje na ich rzecz. Później, gdy twórca przeniósł się do Warszawy i miał do dyspozycji śpiewaków zawodowych, widzimy jak w „Strasznym Dworze“ talent jego rozbłysnął w śmiałych jak na owe czasy—akordach dysonansowych, w rozbudowanej świetnie formie, jędrnej rytmice i wspaniałym rysunku melodyjnym.

Ale i w pierwszym swoim okresie twórczości osiągał Moniuszko duże efekty muzyczne, łatwo dostępne w wykonaniu nawet amatorom. Mówimy, że pisał wokalnie, co wynikało z dużego poczucia śpiewu, z którym miał bezpośredni kontakt od dzieciństwa, aż po czasy pełnienia obowiązków organisty w kościele św. Jana w Wilnie i dyrektora opery warszawskiej. Ta właściwość utworów Moniuszki ma poza tym wielkie znaczenie społeczne, gdyż umożliwia szerokim masom zorganizowanym w zespoły śpiewacze bezpośredni kontakt z wielką twórczością muzyczną, co nie pozostaje bez wpływu na rozwój kultury muzycznej.

Poza Moniuszką—artystą – pionierem, poza Moniuszką — muzycznym wychowawcą pokoleń istnieje jeszcze Moniuszko — człowiek pracy.

Gdy uświadomimy sobie, że tylko jedna partytura „Strasznego Dworu“ liczy ponad 1000 stron, zarzuconych drobnym maczkiem pisma nutowego i tekstami libretta, arkuszy, gdy policzymy czas potrzebny na samo przepisanie i powiększymy go kilkadziesiąt razy na samą realizację pomysłów muzycznych, a potem uprzytomnimy sobie, że oper takich napisał kilka, a prócz nich w dorobku swoim pozostawił jeszcze ponad 200 pieśni artystycznych, gdy stwierdzimy wreszcie, że cała ta potężna twórczość wyrosła niejako na marginesie dnia poza zajęciami zarobkowymi—to stanie przed nami mało ogółowi znana gigantyczna postać Moniuszki — *człowieka pracy.*

I dlatego Łódź, wystawiając mu pomnik, składa hołd ukochanej przez Niego idei sztuki narodowej i chyli głowę przed znojną pracą Jego żywota.

Józef Pawłowski

Życie muzyczne Łodzi.

Porównując tegoroczny sezon życia muzycznego z ruchem koncertowym lat ubiegłych możemy stwierdzić z zadowoleniem znaczne ożywienie, biorąc przytem pod uwagę, że Łódź, nie ma tradycji muzycznej, brak poprostu przyzwyczajenia do uczęszczania na koncerty; liczyć można tylko na podrastające pokolenie, wychowane w odmiennych warunkach, przez odpowiednie kształcenie zamiłowania do muzyki, zmieni ono z czasem istniejący stan rzeczy.

Uwzględniając niekorzystne warunki dla rozwoju jakiejkolwiek ze sztuk pięknych w Łodzi, należy tym bardziej ocenić wręcz niezwykłe wysiłki niektórych instytucji i jednostek, walczących

z zaparciem się siebie o podniesienie kultury muzycznej naszego miasta i dążenia nawiązania kontaktu z najszerszymi warstwami społeczeństwa.

W pierwszym rzędzie zasługi na tym polu przypadają Radio Polskiemu, które ożywioną działalność prowadzi w kierunku szerzenia kultu dla muzyki, uwzględniając przy organizowaniu programu możliwości zespołów chóralnych, orkiestr symfonicznych, orkiestr instrumentów dętych wojskowych i robotniczych, wciąga je do współpracy, dając tym samym możność ich stałego rozwoju.

Największą bolączką naszego ruchu muzycznego był brak liczniejszych koncertów symfonicznych, jakkolwiek istniała przecież stała orkiestra symfoniczna. W tym sezonie dzięki staraniom Towarzystwa Muzycznego, poparciu Polskiego Radia, i subwencji Zarządu Miejskiego odbyło się pięć koncertów symfonicznych, trzy koncerty Łódzkiej Orkiestry Filharmonicznej pod dyrekcją Teodora Rydera, Karola Prosnaka i Sew. Pietruszki, dwa dalsze w wykonaniu Orkiestry Związku Muzyków Chrześc. pod kierunkiem Adolfa Bautzego i młodego utalentowanego dyrygenta Olgierda Straszyńskiego. Orkiestra Związku Muzyków Chrześc. jest zespołem stosunkowo młodym, ale o poważnym założeniu artystycznym, rozwijającym ostatnio bardzo energicznie swoją działalność czynnie i skutecznie pracującym nad propagandą muzyki polskiej. Należy jeszcze wspomnieć o subwencjonowanym przez Ministerstwo W. R. i O. P. koncercie symfonicznym Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej pod dyrekcją Zofii Godlewskiej. Poziom artystyczny koncertów pozostawiał nieraz do życzenia, niemniej ruchowi koncertowemu w dziedzinie muzyki symfonicznej należy się daleko idące poparcie ze stron czynników miarodajnych, właśnie w celu podniesienia poziomu i dawania możliwości systymatycznej pracy i rozwoju.

Ewenementem w życiu muzycznym Łodzi był występ Henryka Sztompki i Anieli Szlemińskiej w koncercie, urządzonym staraniem „Ormuzu", a subwencjonowanym przez Zarząd Miejski i Fundusz Pracy, w nowozbudowanej Hali Sportowej w parku Poniatowskiego dla młodzieży szkół zawodowych i rzemieślniczych, oraz licznych rzesz robotników i inteligencji. Koncert był zaczątkiem dalszej akcji umuzykalnienia szerokich mas robotniczych na terenie Łodzi, z tym pożytecznym założeniem, aby dać możliwie najlepiej wykonaną muzykę, aby dotrzeć i dosięgnąć naprawdę do szerokich mas, głodnych wzruszeń estetycznych i intelektualnych. Organizowaniem pierwszego koncertu „Ormuzu" zajął się gorliwie Józef Pawłowski, który także z ramienia tej instytucji urządza liczne audycje muzyczne dla młodzieży szkół średnich. O działalności „Ormuzu" na terenie szkół średnich pisał obszernie w poprzednim numerze „Kultury Łodzi" prof. Pawłowski, tak, że nie ma potrzeby omawiać tej sprawy powtórnie.

W trosce o obudzenie zamiłowania do muzyki nie samym nauczaniem śpiewu w szkołach powszechnych, Wydział Oświaty i Kultury Zarządu Miejskiego wspólnie z Towarzystwem Muzycznym zorganizował w ciągu bieżącego roku szkolnego cztery cykle audycyi muzycznych dla szkół powszechnych, poświęcone kolejno: Chopinowi, muzyce klasycznej, romantycznej i muzyce operowej polskiej. Audycje doskonale dostosowane do poziomu młodzieży stają się podwaliną kształcenia muzycznego, są to pierwsze kroki, aby stworzyć zdrowy fundament dla rozwoju kultury muzycznej naszego miasta. Młodzież szkolna, wrażliwa na wszelkie objawy prawdziwego piękna, żywo i nadzwyczaj trafnie reaguje na nie, stanowi publiczność, dla której warto z entuzjazmem ponieść niejeden trud, sowicie odpłacony gorącym ukochaniem muzyki.

Pocieszającym objawem w naszym życiu muzycznym jest coraz większa liczba młodych artystów, wynoszących swe wykształcenie muzyczne z Konserwatorium Muzycznego Heleny Kijeńskiej-Dobkiewiczowej, istniejącego początkowo jako Szkoła Muzyczna, później Liceum Muz. i wreszcie od roku 1922 jako Konserwatorium Muzyczne. Liczy ono obecnie 170 uczniów. Jak na Łódź, to pokaźna liczba Posiada prawie wszystkie klasy instrumentalne oraz śpiewu, a przedmioty teoretyczne stoją na bardzo wysokim poziomie, chóry i orkiestra ożywiają liczne popisy uczelni.

Konserwatorium jest poniekąd regulatorem naszego ruchu muzycznego, zasila uczniami swymi orkiestry symfoniczne, orkiestry salonowe, szereg solistów, występujących stale w Radio Polskim rekrutuje się z uczniów Konserwatorium. Kwartet smyczkowy i zespół instrumentów dętych, powstałe przy Konserwatorium coraz częściej występują przed mikrofonem albo też w audycjach kameralnych: dostępne dla wszystkich, a odbywające się w lokalu Konserwatorium. W życiu muzycznym naszego miasta Konserwatorium jest niewątpliwie czynnikiem ożywiającym, szkoli całe zastępy muzyków zawodowych i bierze czynny udział w rozmaitych poczynaniach muzycznych. Obok kształcenia muzyków zawodowych Łodzi potrzeba jednak i to koniecznie umuzykalnienia całej ogromnej rzeszy dobrych słuchaczy, aby wytworzyła się pewna równowaga poziomu artystycznego kultury muzycznej.

Nie sposób pominąć ciekawego zjawiska życia muzycznego naszego miasta, są nimi koncerty organowe, transmitowane przez Polskie Radio z kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej; sztuka organowa naogół zaniedbana w Polsce, znajduje i w naszym ubogim pod względem artystycznym mieście, wskrzeszenie. Doskonałe organy i świetne warunki akustyczne kościoła pozwalają na wznowienie tak wzniosłej i pięknej dziedziny muzyki, co powitać należy z radością.

Oto pokrótce zestawienie ważniejszych wydarzeń w życiu muzycznym Łodzi. Jak widzimy, nie przedstawia się ono najgorzej, jakby się niejednemu pesymiście wydawało. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy na dorobku i trzeba trochę cierpliwości, aby potęga twórczego rozmachu, wytrwałość w poczynaniach łodzian znalazły swój prawdziwy wyraz i w kierunku artystycznym.

Waleria Pałczyńska

Łódź, która odeszła. Nasze Campo Santo.

I.

Nie tak tu illo tempore bywało,
Ziemio Obiecana i nadziei skało!..

Jak stwierdzają najstarsze dokumenty historyczne, na ziemiach dzisiejszej wielkiej Łodzi przemysłowej rozprzestrzeniały się nieprzebyte, miejscami mroczne, miejscami przetrzebione, lecz sięgające gęstwą aż po Plac Wolności głuche bory, wchodzące w skład pierścienia lasów zwanych puszczą nadłódczańską. Zachowana po nasze czasy mapa Gilly'ego, wykonana przez Mattiasa Langnera w roku 1802—1803 w Berlinie, a będąca w naszym posiadaniu jako reprodukcja z atlasu „Specialkarte von Südpreussen", stwierdza, że o ile Łódź obecna jest zwartym kompleksem miejskim wraz z jego ulicami, placami, domami, budynkami i fabrykami, o tyle Łódź dawna, stanowiła połączenie właściwych terenów mieszkalnych z terenami ornymi i zalesionymi. Na mapie Gillie'ego widać wyraźnie teren zabudowań miejskich, poważnie mniejszy od terenu sąsiedniego Zgierza. Teren ten obramowany był w pewnej odległości kręgiem wspomnianych lasów. Pierścień między lasami a właściwym miasteczkiem wypełnia szara plama karczowisk. Są to pola mieszczan ówczesnej Łodzi. W ten sposób lasy popokrywały takie tereny jak częściowo Bałuty, wieś Karkoszkę, Wólkę, Chojny, Dąbrówkę, Księży Młyn, Widzew, Radogoszcz, Żabieniec, Kałły, Łagiewniki i częściowo Rokicie, a więc te wszystkie miejscowości, które położone były w bezpośrednim zetknięciu z Łodzią.

Stan ten dopiero z czasem się zmienił. Lasy systematycznie ustępowały przed zwycięskim pochodem człowieka.

Nowa mapa, przedstawiająca plan Łodzi z wieku 16 do 18, wykonana podług rekonstrukcji dr. A. Zanda przez inż. E. Nowaka stwierdza, że w tym czasie nawet lasy sięgały jeszcze po dzisiejszy Plac Wolności i pokrywały częściowo ulicę Piotrkowską.

Jądrem życia ówczesnej Łodzi był oczywiście rynek, który sięgał ponoć do wylotów ulic, obecnie zwanych: Lutomierską, Zgierską, Łagiewnicką i Brzezińską. Mizerna toć musiała być mieścina, skoro w kilkanaście lat po erygowaniu jej na miasto, a więc już w roku 1470 liczyła zaledwie 44 rodziny z 4 rzemieślnikami. Położona pośród borów i mrocznych i nieprzebytych siedziała w swych kurnych chatach i chwaliła Boga za dobrodziejstwa, jakimi darzył ją. Tutaj wyrastali protoplaści naszych rzemieślników, przodkowie późniejszych tkaczów i przędzalników, tutaj sięgają początki tej Łodzi, którą później twórca „Chłopów" nazwał Ziemią Obiecaną i tutaj wreszcie, syci doczesności, składali pradziadowie Łodzi swe starcze kości na cmentarzysku kościelnym i parafialnym.

Niewiele było tych mogił, bo nieliczni też byli mieszkańcy Łodzi. Nie uskarżali się, broń Boże, na ciasnotę, dość mając wokół swobodnej przestronności. Chował tu syn ojca, po chrześcijańsku i po katolicku chował wnuk dziada i przybywał w Zaduszki na mały cmentarzyk parafialny przy kościółku łódzkim położony i odprawiał modły za duszę Mikołaja Jałochy, Wojciecha Wołka, Marcina Zubały, Sochę, Kąbika, Chometka i Dometka. I tak płynęły lata tym mieszkańcom zdala od szerokiego świata położonej Łodzi.

Czas przecież zwyciężał! Rozwijało się i upadało miasteczko, lecz dźwigało się ponownie, by w szlachetnym uporze dojść z czasem do szczytów swych marzeń. I dochodziło z wiekami do dobrobytu. Mały cmentarzyk przykościelny



Brama cmentarna

nie mógł już później pomieścić umrzyków. Rozrosła się bowiem i rozprzestrzeniła cicha i skromna Łódź rolniczo-rzemieślnicza. Naturalny proces ludnościowy wymagał więcej przestronności i dla tych, którzy odchodzili nazawsze. Dla tej Łodzi postarano się o nowy cmentarz.



Krzyż

Działo się to w roku 1819

Dnia 6 listopada, nawiązując do reskryptu z dnia 7 czerwca 1819 roku, dozór kościelny parafialnego kościoła m Łodzi, położonego na miejscu dzisiejszego kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny na Starym Mieście, wychodząc z założenia, że dotychczasowy cmentarzyk parafialny przy kościele tym staje się zbyt szczupły dla potrzeb miasta, pisał wespół z ówczesnym bur-

mistrzem Czarkowskim na czele memoriał do Komisarza Obwodu Łęczyckiego:

„Stosownie do obok wymienionego Reskryptu, podpisany dozór nie omieszka wybrać miejsca na Cmentarz opodal Miasta, a że wspomniany plac jest własnością prywatną Obywatela miasta Łodzi J. W. Pana Macieja Kudlińskiego, przeto Dozór z tymże ugodził się za ustąpienie złotych polskich 150, która to suma w Anszlagu jest zamieszczona. Podpisany dozór ma honor w załączeniu przesłać ręczny rysunek wraz z Anszlagiem ogrodzenia Wnemu Kommissarzowi do Zatwierdzenia"

Memoriał ten podpisał burmistrz Czarkowski.



Kaplica cmentarna

Plac pod nowy cmentarz grzebalny położony był na terenie drogi Retkińskiej i obejmował obszar, określony 8 tysiącami kwadratowych łokci, a odległy od miasta o 40 kroków. Najprawdopodobniej położony był on na terenach dzisiejszego kościoła pod wezwaniem św. Józefa przy ulicy Ogrodowej. Tutaj też poczęto grzebać kości tej Łodzi, która odchodziła ku wieczności. Lecz niepohamowany stawał się od tej pory, a więc już od roku 1820, dalszy i szybki rozwój Łodzi, która rozbudowywała się i uprzemysławiała w tempie iście amerykańskim. Nic też dziwnego, że i ten cmentarzyk stawał się zbyt ciasny, kiedy zaszła gwałtowna potrzeba dokupienia nowych terenów i rozszerzenia cmentarza grzebalnego przy drodze Retkińskiej.

I znów musiał zabiegać dozór kościelny o tę rozbudowę. Zachowane po dzień dzisiejszy dokumenty historyczne stwierdzają, że cmentarz został rozprzestrzeniony. Utwierdza nas w tym następny dokument historyczny:

„Działo się w mieście Łodzi, w Biurze Burmistrza dnia 16/28 1838 roku. Z mocy Reskryptu W. Kommissarza Obwodu Łęczyckiego z dnia 8/20 Marca r. b. N. 5031 odręcznie wydanego po przybyciu swym do Miasta Łodzi podpisany Budowniczy Obwodu, sporządziwszy plan mieysca przybrać się mianego na rozprzestrzenienie Cmentarza do chowania Ciał Zmarłych, za zniesieniem się z Dozorem Kościelnym i po przekonaniu się, iż miejsce to należy się do Mateusza Kucińskiego, Obywatela tutejszego, zawiera długości miary warszawskiej Łokci 120, Szerokości Łokci 36 i pół, powołany tedy właściciel Gróntu, Mateusz Kucinski do deklaracyi czyli Grónt ten za dobrowolną zgodą życzy sobie na użytek Cmentarza do Chowania Ciał Zmarłych ustąpić, lub też żąda tego, aby Grónt ten podług Szacunku miał sobie zapłacony, które Osobiście stawaiący, poprzestaiąc na ofiarowaniu mu Kwoty Złotych Polskich 50 przez Dozór Kościelny tem wynagrodzeniem kontentuje się i Grónt ten na użytek Cmentarza oddaje. Na czem niniejszy protokół ukonczony przeczytany i przez Osoby do tego podpisany"

xxx Mateusz Kucinski, Ks. Józef Krieger, A. Dłużewski, Antoni Bittdorf i za Burmistrza Czaplicki.



Mauzoleum Heinzlów

Łódź wszelako nie dała za wygrane. Rozmnażała się, rodziła i umierała. Szli młodzi, odchodzili starzy. Coraz więcej krzyżów powstawało u mogił i znów coraz ciaśniej stawało się na powiększonym już cmentarzu przy Retkińskiej drodze.

Stanisław Rachalewski

„Prestige de la Poesie"

Każda epoka nabiera wyrazistego charakteru dopiero wtedy, gdy spojrzymy na nią z pewnej odległości czasu, gdy jej ludzie, rzeczy, dzieła, uczucia i serca przestają bić tętnem i wołać o współczucie, a przede wszystkim domagać się współdziałania stawiającego nas zawsze w życiu w pewnej określonej sytuacji.

Zdaje się nam przeto natchniona wzniosłą poezją przeszłość czasem dlatego tylko, że jest przeszłością, że nie powróci i nie ożyje w identycznej formie.

Niekiedy jednak przychodzą chwile głębszych rzutów w *minione* i może *nieznane*, kiedy poezję odnajdujemy w życiu przeszłości, w jej istnieniu, w ciągłych walkach i starciach.

I oto zapytać musimy, czym poezja jest dla nas, czym dla naszej młodej epoki, jaki nasz stosunek do niej? Pytanie to jest podstawą do uchwycenia już dziś wyrazu naszej kultury do zajrzenia w duszę własnego pokolenia.

Nic też dziwnego, że stawiają sobie pytanie to niemal wszyscy, dla których ważną i niecodzienną jest sprawa tworzenia rzeczywistości życiowej, sprawa „stawania się" historycznego chwili, która jeszcze żyje. Napiszą o nas inni, będziemy dla nich przeszłością — lecz czym jesteśmy dla siebie? Co pozostało w nas patrzących jeszcze na niedawny kataklizm dziejowy, w którym zamarły serca a podniosły się instynkty? Czy jest w życiu zbiorowisk naszej epoki miejsce na poezję?

Z wnikliwych i ważkich rozważań *Julien Lanoë* w majowym numerze *„La nouvelle revue française"*, ujętych w artykule *„Prestige de la poesie"* wynika, że właśnie od wielkiej wojny znaczenie poezji w oczach mas wzrasta, chociaż jednocześnie ogół poezji nie czyta, względnie nie wnika w jej głębię, nie „użytkuje" jej dla siebie ani w sobie.

Pomimo to dochodzi Lanoë do wniosku, że

„Nie są poeci jednymi w przemianach życia, często ci, którzy nigdy nie napisaliby jednego wiersza, przywiązują się silniej do tego, co stanowi wartość i wagę człowieczą w Poezji".

Jednocześnie stwierdza tu wyraźnie autor, że bez Andersena, Lafcadia Hearn, Maxa Jacoba, nieporównanego humanisty czeskiego i wielu, wielu innych nie mogłoby się poznać, przeczuć i zrozumieć twórców jeszcze nie poznanych a żyjących, tworzących kulturę.

I pochodu kultury, kultury zachodniej nie zmącą ani wojny, ani rewolucje, jako siły powstające na zewnątrz. Jednak jak autor słusznie zauważa, kultura może być zmącona, zniszczona tylko przez własne swoje wewnętrzne a przecież odśrodkowe siły, więc przez nieodpowiednie wystąpienie prasy, przez księgarnie, przez człowieka t. zw. cywilizowanego, który w zachwycie nad sobą samym wstrzymuje pochód ludzkości w przyszłość. Groźnym niebezpieczeństwem dla kultury jest zaciemnienie się owego „sens de la grandeur humaine", poczucia własnej wielkości ludzkiej.

A już Jean Paulhan w sposób doskonały podkreślił, że literatura cierpi najwięcej nad tym, gdy zatraca możliwość urabiania ludzi przyszłości. To też zauważa Lenoë

„Od wieku literatura licytuje się. Pragnie pomnożyć za wszelką cenę siłę przenikliwości słowa, zadziwić i wzruszyć ogół w pewnej mierze płytki i roztargniony. Dlatego to poezja jest dziś na szczycie literatury, podobnie jak w czasach klasycyzmu była tragedia i dysputa, a w wieku XIX powieść"

Poezja wysunięta na plan pewny, na szczyt jest dzielną bojowniczką wśród niebezpieczeństw o dobro ludzkości.

Zdaniem Lenoë z pojęciem poezji złączona jest wzniosłość, retoryka czysta, wyrażająca się w formie, w słowie. Duszę artysty obnaża dwoistość słowa i przeżycia twórczego ujętych w *jedność dzieła*, w którym tętni rytm poezji.

„Duch twórcy ukrywa się w słowach w sposób tak głęboki, iż z trudem odnaleźć można jego uderzenia.... w rytmie poematu, w sprawach dotyczących kompozycji, w manierze, w pewnych nawykach dzieło objawia swego twórcę".

Duch ludzki jednak dążący dalej nie zamyka się w ciasnym kręgu i oto powiada Paul Valéry, że

„Duch ludzki nuży się w ciasnych ramach świadomości, zapala go to do przejścia granic, do objęcia n i e z n a n e g o, do nadania mu formy zmysłowej".

Poezja zaś promieniuje wokół. Próżny trud byłby oznaczać jej określony cel.

„Nie można powiedzieć o żadnej poezji, że dosięgła swego celu, ponieważ sam poeta nie potrafi tego celu zdefiniować"

Dzieli Lenoë poezję na dwa rodzaje:

„jedna jest wynurzeniem, druga obrazem".

Te kilka spojrzeń na artykuł J. Lenoë pozwoli nam głębiej i wszechstronniej wniknąć i ustalić własny pogląd na stosunek poezji do życia, epoki, ogółu czy jednostki.

Odrzucając nawet całkowicie poglądy pisarza francuskiego, przy jego pomocy jednak potrafimy ująć granice znaczenia i wielkości poezji, poezji która urabia charakter naszej epoki.
(*przekład dowolny*)

Mieczysława Romankówna

●

Zagadnienie liryki współczesnej, jest przedmiotem licznych dyskusji i rozważań krytycznych w prasie. Z głosów godnych uwagi zanotować należy obszerną rozprawkę Franciszka Siedleckiego w nr. 95 „Skamandra" p. t. „O swobodę wiersza polskiego". Siedlecki przeciwstawia się K. W. Zawodzińskiemu, zwolennikowi metra klasycznego w poezji, dowodząc, że liczne odstępstwa od ustalonych szablonów w rytmie poetów najmłodszych. to nie błędy czy przeoczenia, lecz świadome chwyty artystyczne. To samo dotyczy agonansów i rymów niepełnych. Autor ilustruje swoje tezy przykładami z utworów najwybitniejszych poetów współczesnych: Tuwima, Wierzyńskiego, Słonimskiego, Piechala, Sebyły, Jastruna, Lieberta i Szenwalda. Dalszym jakby uzupełniającym ciągiem wywodów Siedleckiego są artykuły Alfreda Łaszowskiego p. t. „Poezja spacerowiczów" i Jerzego Pietrkiewicza p. t. „Niech żyje liryka imperialistyczna!" w numerach 18 i 19 „Kroniki". Łaszowski, stojąc na stanowisku, iż poezją najlepszą formalnie jest obecnie poezja awangardy, zarzuca jej jednocześnie płytki sensualizm, wsteczną sielankowość, „rozwieszanie uczuć po gałęziach", brak pogłębienia filozoficznego, a nadewszystko kontaktu z aktualnie zachodzącymi wielkimi wydarzeniami życia zbiorowego. Jerzy Pietrkiewicz uzupełnia te uwagi żądaniem powrotu liryki do wielkich i niezawodnych źródeł inspiracyj poetyckich: aktualnych zagadnień narodowych. „Prawa czasu — powiada — są prawami nowości. Stworzenie nowego, wielkiego ruchu siłą koncepcji zespoli ten ruch z epokami minionymi. Prądy narodowe w sztuce nie zatracają ciągłości". Do

tych dwóch głosów należałoby jeszcze dorzucić ważki artykuł Stanisława Piaseckiego w nr. 25 „Prosto z Mostu“ p. t. „Ofenzywa estetyzujących snobów“, w którym rozprawia się z Ludwikiem Frydem w obronie poezji Wojciecha Bąka. Fryde nazywa łaskawie Jana Kasprowicza „pięknym i niepospolitym człowiekiem, ale zawodnym artystą“. Słusznie więc Piasecki reblikuje: „Snobom talentyzmu i estetyzmu najbardziej zawsze podobają się mierne, poprawne i koniecznie „nowoczesne” wiersze, wszystko jedno jaki typ duchowości człowieka wyrażające... Rzecz charakterystyczna w całym studium pana Frydego, że zastanawiając się nad powodami, które mogły dać Bąkowi poczytność i sławę wśród czytelników, nie zauważył on wcale *problematyki narodowej* w jego wierszach. Wszelkie bowiem powiązania poezji z człowiekiem, z narodem, ziemią z rasą, z ojczyzną nic pana Frydego nie obchodzą“. Kończąc przegląd tych głosów, zwracamy uwagę, że zagadnienie poezji, właściwie treści poezji, aktualne jest również i zagranicą, dowodem czego choćby artykuł Julien Lanoë'go „Prestige de la poésie“ w numerze majowym „La Nouvelle Revue Française”, którego przekład ważniejszych fragmentów podajemy w niniejszym numerze.

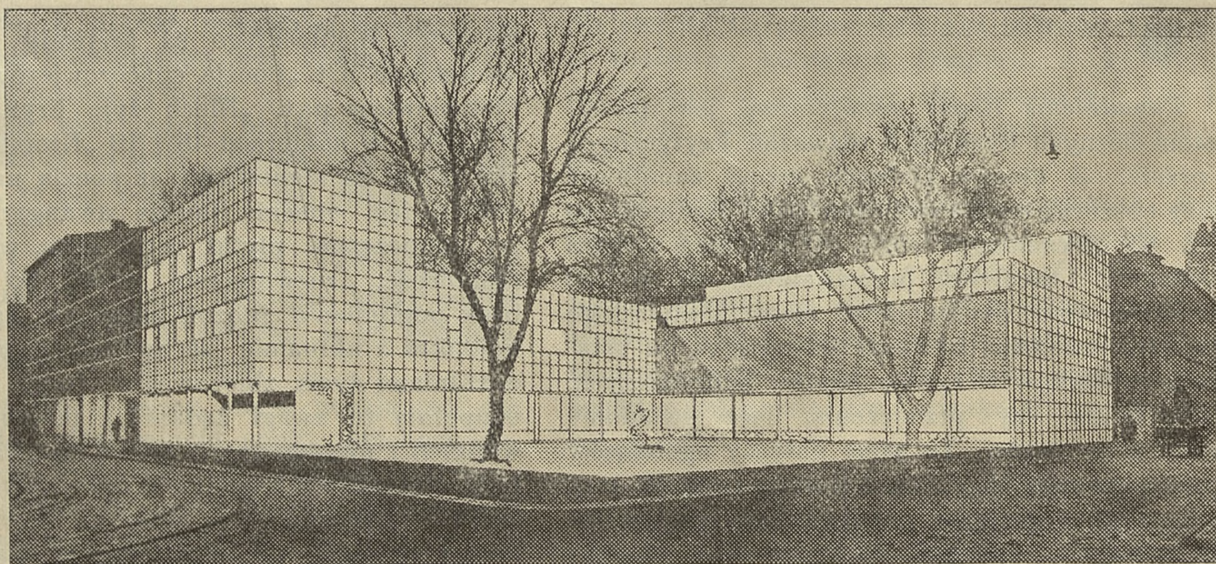
(b)

Poświęcenie kamienia węgielnego pod gmach Biblioteki Publicznej im. Józefa Piłsudskiego w Łodzi

Dnia 14 maja r. b. odbyła się niezwykła w naszym mieście uroczystość: zapoczątkowano budowę specjalnego gmachu dla Biblioteki Publicznej. Na poświęcenie kamienia węgielnego przybyli z Warszawy przedstawiciele Rządu w osobach: p. p. Wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, ministrów Przemysłu i Handlu i Rolnictwa Romana i Poniatowskiego, oraz Dr. Jerzego Aleksandrowicza. wiceministra W. R. i O. P. Ponadto uświetnili uroczystość swą obecnością przedstawiciele miejscowych władz publicznych, duchowieństwa, organizacyj społecznych i członków Związku Przemysłu Włókienniczego jako gospodarze i fundatorzy gmachu.

Przemówienia wygłosili sen. Aleksander Heiman-Jarecki, Dr. Bruno Biederman, J. E. Ks. Biskup Włodzimierz Jasiński, Dr. J. Aleksandrowicz, poseł Starzak, Mikołaj Godlewski, Dr. F. Maciszewski i Andrzej Wierzbicki.

Ważność faktu rozpoczęcia budowy Biblioteki Publicznej polega nie tylko na tym, że stanie gmach specjalnie dla celów bibliotecznych wybu-



Projekt gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej im. J. Piłsudskiego

dowany, lecz głównie na tym, że gmach ten buduje się z inicjatywy społecznej t. j. Związku Przemysłu Włókienniczego w Łodzi. Ofiarność ta świadczy, że przemysł łódzki kontynuuje szlachetną ideę podnoszenia kulturalnego miasta, ideę tak chlubnie zapisaną na kartach dziejów Łodzi przedwojennej, kiedy to większość instytucyj użyteczności publicznej utworzona została przez tutejszych przemysłowców.

Nowa biblioteka stanie przy zbiegu ulic Kopernika i Gdańskiej, w dzielnicy niehałaśliwej i czystej, prawie w centrum miasta. Nowością przy budowie jest fakt dopuszczenia do głosu, przy projektowaniu planu, fachowca bibliotekarza, który opracował instrukcję, ustalającą wymagania bibliotekarskie dla uczestników konkursu. Instrukcja ta stanowiła organiczną część warunków konkursu. i obowiązywała architektów narówni z innymi przepisami.

Gmach będzie posiadał dwie czytelnie: jedną dla pracujących naukowo, drugą dla młodzieży akademickiej, licealnej i dla samouków. W czytelniach będzie ogółem 150 miejsc. Magazyny obliczone są na 300.000 tomów i zbudowane nowocześnie jako niskie pięterka, połączone siecią lekkich wind na książki i ciężkich dla ludzi i dużych transportów książek. Rozplanowanie pomieszczeń pozwoli na ścisłe rozgraniczenie dróg książki i czytetnika. Katalogi umieszczone będą na jednym poziomie z czytelnią. Ponadto przewidziane są wszelkie wygody dla czytelników jak obszerna szatnia. bufet, palarnia i t. d.

Dotychczasowa biblioteka publiczna zasłużyła sobie na nową siedzibę, gromadząc w ciągu lat 20 księgozbiór, który rozrósł się do 60.000 tomów i których nie można pomieścić na półkach w ciasnym i nieodpowiednim pod każdym względem lokalu. Biblioteka obsłużyła w ciągu tego czasu 634.665 czytelników i wypożyczyła 1.278.358 książek — co stanowi najlepsze świadectwo jej zasług naukowych i żywotności. Biblioteka Publiczna rozrosła się w sieć biblioteczną, licząc już 9 filij i wykształciła liczne zastępy fachowych bibliotekarzy, którzy znakomicie podnieśli poziom innych bibliotek w mieście i rozszerzyli akcję w zakresie czytelnictwa powszechnego.

A.

Polska YMCA w Łodzi

„Talent tworzy się na odludziu
a charakter w samym nurcie życia".
Goethe

Ażeby ocenić w pełni ważność roli, jaką spełnia dziś Polska YMCA w pracy swej dla młodzieży i dorosłych, trzeba sobie zdać sprawę z sytuacji społeczno-wychowawczej tej instytucji w stosunku do życia, oraz zanalizować metody pracy, które w zastosowaniu praktycznym okazały się dobre, celowe i pożyteczne.

W zrozumieniu doniosłości pracy wychowawczej Polska YMCA rozpoczyna swą działalność od chłopca, opiekując się nim i stwarzając dlań racjonalne warunki, które zapewnić mogą chłopcu doskonalenie i kształcenie charakteru, jak również pogłębienie jego zasobu świadomości.

YMCA działa w życiu a nie poza jego nawiasem. YMCA rozgląda się w życiu samym, a nie przypatruje mu się zdaleka. YMCA tkwi w życiu i w działalności swojej kieruje się prawami życia. A więc sama jest jego cząstką; stanowi ogniwo w łańcuchu procesów życiowych, które wobec ludzi doceniających wartość własnego rozwoju działa przyciągająco i jest tym niezbędnym czynnikiem, który w wielu wypadkach decyduje o poziomie intelektualnym i towarzyskim jednostki. Wracając do pracy nad chłopcem można śmiało powiedzieć, że Ogniska Polskiej YMCA stanowią ważne dopełnienie tych metod i środków wychowawczych, które się w szkołach stosuje.

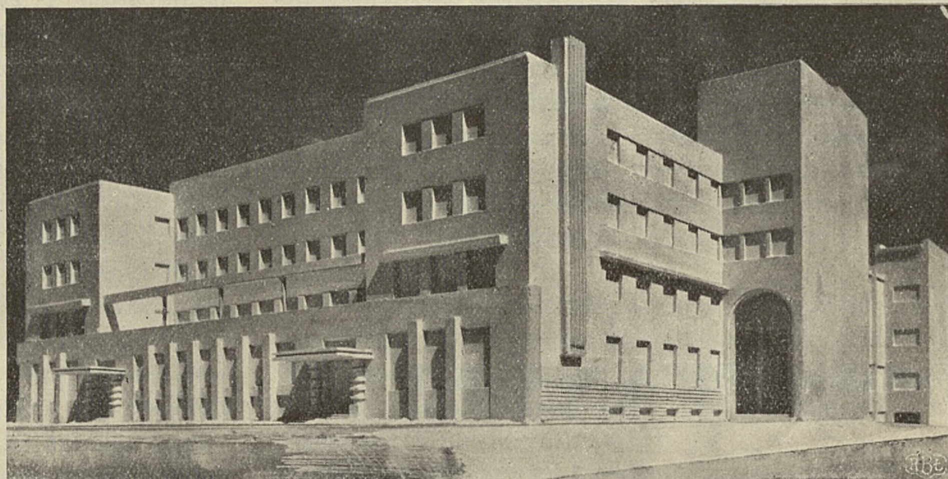
Szkoła uczy i wychowuje. YMCA wychowując, kształci, doskonali. Wiedzę zdobytą w szkole chłopiec ma możność w Ognisku poszerzyć i utrwalić; znajduje tu moc okazji do operowania posiadanym zakresem wiedzy, zastosowywania jej w życie praktycznym, realnym, w obrębie licznego i stale zmieniającego się grona kolegów, co dla rozwoju chłopca posiada pierwszorzędne znaczenie.

Szkoła jest skarbnicą wiedzy programowej, z góry dlań przewidzianej. YMCA jest skarbnicą odmian życia, praktycznych potrzeb i wszelkich możliwości dla przejawiania inicjatywy oraz jej realizowania.

Zewnętrzne objawy chłopca, na których cały swój program instytucja opiera, stara się przemienić YMCA „na walory, odpowiedników społecznych, stwarzając przez to typ jednostki uspołecznionej“. Wykorzystuje indywidualność wychowanków w taki sposób, który zapewnić im może rozwój walorów wewnętrznych. A wszystko to dzieje się na tle prawdziwego życia, rzetelnych trudności, z którymi chłopiec, siłą tempa ruchu w Ognisku — zetrzeć się musi. To go podnosi o szczebel wyżej,— stwarzając typ chłopca, potrafiącego kroczyć o własnych siłach, ufnie w świat spoglądającego. Takiego chłopca nie spotka po ukończeniu szkoły rozczarowanie, nie przerazi go życie, z którym już od lat najwcześniejszych miał kontakt i zdążył się doń przyzwyczaić.

Program YMCA—to program oparty na czynie — to „program odpowiednio pokierowanych doświadczeń życiowych“, gdyż tylko te wychowują odpowiednio charakter jednostki- w przeciwstawieniu do metod czysto dydaktycznych, stawiających wychowanka w pozycji biernej.

Działalność swą prowadzi YMCA również wśród ludzi dorosłych. Nie jest to już praca od podstaw. Są to wysiłki nad udoskonaleniem człowieka, nad zapewnieniem mu warunków do zaspakajania własnych dążeń i moralnych potrzeb w czasie wolnym od pracy zarobkowej. YMCA skupia ludzi o różnych warunkach materialnych i o różnych poziomach umysłowych. Na terenie ognisk YMCA ludzie ci spotykają się, wymieniają myśli i poglądy; następuje dzięki temu zbliżenie,



Gmach Polskiej YMCA w Łodzi
(częściowo zbudowany)

które uczestnikom YMCA zapewnia bardzo ważną moc życiową, a mianowicie pewność siebie w znaczeniu dodatnim, YMCA jest instytucją dla wszystkich klas społecznych. Każdy chrześcijanin ma możność na terenie ogniska YMCA działać i przejawiać własną inicjatywę; ma prawo brać czynny udział w szerokim programie tej organizacji, zawsze znajdując warunki i możność ku temu, by udoskonalić życie swoje, by wejść w bliższy kontakt z tymi zagadnieniami życia, które stanowią o wartościach intelektualnych i moralnych człowieka. W myśl powyższych wywodów i z uwagi na praktyczne podejście w realizowaniu swego programu, Polska YMCA rozprzestrzenia działalność swą w czterech zasadniczych kierunkach. Są to, rozwój, duchowy, umysłowy, fizyczny i towarzyski W tym celu prowadzi odpowiednie wydziały (Społeczno-Towarzyski, Oświatowy i Wychowania Fizycznego), z których każdy ma swoje z góry określone zadanie do spełnienia. Wydział Oświatowy — to cały szereg kursów mających za zadanie uzupełnić braki w wiadomościach ludzi, poświęcających się określonemu zawodowi, jak również prowadzenie kursów stałych np. językowych. W ten sposób Wydział ten ma możność zaspakajać doraźnie aktualne i życiowe potrzeby swoich uczestników. Wydział Wychowania Fizycznego propagując konieczność rozwoju fizycznego człowieka, prowadzi szeroką i bardzo żywotną akcję wśród młodzieży i dorosłych. Sala gimnastyczna łódzkiego Ogniska i basen czynne są cały dzień i wykorzystywane w 100 procentach przez jednostki doceniające wartość własnego zdrowia i wysokiej sprawności fizycznej. Należy tu zwrócić uwagę na młodzież szkolną, która tłumnie bierze czynny udział w działalności wspomnianego Wydziału.

YMCA wychodzi z założenia, że „przyzwyczajenia i wreszcie tryb życia, jaki prowadzimy, są zwykle rezultatem czynu i powstają wskutek pew-

nych przeżyć". W myśl tego zdania Wydział Społeczno-Towarzyski odpowiednio konstruuje swój program, przyczem podejście swoje w realizowaniu go wyraża w trzech kierunkach pracy: działalności dla jednostki, grupy i masy. Ponieważ, w myśl ogólnie przyjętego zdania, wszelkie kwestie moralne związane są z życiem grupowym, przeto wspomniany Wydział wykorzystuje ten fakt socjologiczny, poświęcając maksimum wysiłków grupom, które na terenie Ognisk imkowskich noszą nazwy klubów lub kół. W grupach tych spotykają się jednostki, które w sposób planowy celowy pragną pogłębić własne wartości, oraz czas wolny od zajęć zarobkowych poświęcać dla dobra ogółu, w tym wypadku dla dobra uczestników Polskiej YMCA. Można śmiało zaryzykować zdanie, że kluby te stanowią na terenie Ognisk YMCA niby słońca, które światłem inicjatywy i wysokiej sprawności realizowania promieniują w szerokie rzesze uczestników. Od nich zależy ruch w Ognisku i poziom współżycia wielkiej rodziny imkowskiej. Od nich zależy wreszcie poziom organizowanych imprez oraz wytworzenie tego poczucia ciepła i miłej atmosfery, z którą każdy nowy uczestnik YMCA już po pierwszym zetknięciu z życiem Ogniska spotkać się musi. Kluby są szkołą życia i charakteru, program swój bowiem opierają na faktach realnych i życiowych, stwarzają warunki sprzyjające dobremu postępowaniu jednostki; uczą szlachetnych przyzwyczajeń, nie krępując uczestnika w wyborze zajęć i zainteresowań; sprzyjają tym samym kształceniu i doskonaleniu tych cech człowieka, które decydują o wartości charakteru.

Nie może być mowy o zbudowaniu charakteru, lecz o jego wychowaniu. Cel ten osiągają kluby, dzięki wprowadzaniu w czyn zajęć, zapewniającym im—mówiąc słowami Kerschensteinera— „czterech składników duchowego zadatku charakteru" — a mianowicie: silnej woli, jasności sądzenia (logicznego myślenia), subtelności (różnorodności działania) i wzruszalności.

„Przez życie i w stosunku do życia"—to hasło programu klubowego. „Charakteru nie możemy bowiem kształtować metodą pasywną, urobić go możemy jedynie przez czyn, przez branie udziału w życiu twórczym". I dlatego program klubowy Ognisk Polskiej YMCA jest „programem przeżyć, projektów i sposobności do wykonywania pewnych zamierzeń, czy to osobiście czy grupowo". Idąc w dalszym ciągu po myśli p. Supera, Generalnego Dyrektora Polskiej YMCA, wybitnego znawcy tej dziedziny pracy — przytoczę „te wszystkie przyzwyczajenia i sposoby postępowania", które uczestnicy klubów w miarę czasu i możliwości w siebie wszczepiają. Są to: „1. Uwzględnianie uczuć, planów, opinii i zainteresowań innych. Rozwój tolerancji, altruizmu i sympatii dla innych. 2. Współpraca w układaniu planów i ich realizowaniu. 3. Przyjmowanie na siebie zobowiązań i wywiązywanie się z takowych. 4. Szybkość i punktualność w zbieraniu się i spełnianiu obowiązków. 5. Systematyczność i porządek w pracy i w życiu wogóle. 6. Zainteresowanie się i ocenianie kulturalnych wartości życia jak: muzyka, sztuka, literatura, historia i t. p. 7. Zdawanie sobie sprawy z zobowiązań socjalnych w stosunku do innych osób, ugrupowań społecznych i państwa, oraz postępowanie w myśl powyższego. 8) Poszanowanie dla przepisów i rozporządzeń prawnych, mających moc obowiązującą. 9) Uczciwość w finansowych i handlowych tranzakcjach, w stosunku do własności jednostek, społeczeństwa i państwa. 10. Prawdomówność w mowie i w czynie. 11. Poszanowanie dla ludzkiej własności. 12. Lojalność w stosunku do siebie, społeczeństwa i państwa. 13. Karność w życiu i opanowanie instynktów. 14. Altruistyczna działalność mająca na celu pomyślność innych ludzi. 15. Osobista czystość i higieniczny tryb życia. 16. Moralność w stosunku do kobiet. 17. Zastanawianie się nad konsekwencjami zarówno bezpośrednich jak i pośrednich swych czynów. 18. Wytrwałość w zdobywaniu wytkniętego celu. 19. Poszanowanie dla religii. 20. Przykładne zachowanie w towarzystwie.

Punkt ciężkości wyżej wyszczególnionych sposobów postępowania, polega na realizowaniu ich w życiu. Motywy nie realizowane w czynie są bezwartościowe i jedynie wtedy nabierają wartości społecznej, gdy mogą wyrazić się w działalności i uwidocznić w życiu jednostki".

A wszelkich możliwości postępowania i działania dostarcza teren Ogniska.

Henryk Niemirski

I-szy Wielki Koncert Ormuzu dla robotników.

W dniu 15-V-1938 r. odbył się w Hali Sportowej koncert dla robotników z udziałem A. Szlemińskiej — sopran, H. Sztompki — fortepian i J. Pawłowskiego — prelekcja. Na program złożyły się głównie utwory Chopina i Moniuszki. Między publicznością — złożoną z młodzieży rob., robotników a wykonawcami od pierwszej chwili zadzierżgnęła się nić obopólnej sympatii. Szczególnie p. Szlemińska swą bezpośrednością podbiła całkowicie publiczność i gorąco była oklaskiwana, za żywiołowe wykonanie pieśni: Koralicki, Baby, Carne ocko. P. Sztompka, jak na tego rodzaju koncert dał trochę za trudne utwory; już podczas wykonania Scherza można było wyczuć pewnego rodzaju znużenie wśród słuchaczy. Niemniej jednak był oklcskiwany i zyskał ogólną sympatię. Prelekcja p. Pawłowskiego, była wygłoszona krótko, w formie przemawiającej — do audytorium.

Znaczenie imprezy niedzielnej jest doniosłe. Sam fakt, że artyści wysokiej miary biorą udział w koncercie, przyjeżdżają do Łodzi specjalnie dla mas robotniczych — pozbawionych radości życia podnosi ich mocno na duchu, zaciera silne jeszcze wśród tej młodzieży poczucie bezwartościowości.

Więcej imprez podobnych niedzielnej — a przestaniemy narzekać na obojętność mas robotniczych i młodzieży rob. dla muzyki. Trzeba tylko dać im tę muzykę w formie najpiękniejszej, bo tylko najwyższe piękno sztuki może w nich rozbudzić zamiłowanie.

Hala sportowa wypełniona była po brzegi. Blisko trzy tysiące zebranych stworzyło zespół wdzięcznych słuchaczy. Przyjęcie, z jakim spotkali się artyści warszawscy, dowodzi, iż w Łodzi istnieje kult pieśni i umiłowanie wielkiej muzyki.

Stefania Czeszkówna

Z ruchu wydawniczego łódzkiego

Drugi rok co dwa tygodnie pojawia się jako „DODATEK LITERACKI" do Kuriera Łódzkiego kolumna redagowana przez komitet polonistyczny, wyłoniony z Towarzystwa Polonistów — oddział w Łodzi. Wziął sobie za cel zaznajamianie czytelników z przejawami życia literacko-artystycznego, i omawianie zagadnień z dziedziny prac kulturalnych. Na łamach dodatku pojawiło się dotychczas kilkadziesiąt artykułów—będących nieraz owocem poważnych badań naukowych — pióra Stefanii Skwarczyńskiej, J. Z. Jakubowskiego, M. Romankówny, T. Czapczyńskiego, W. Jakubczyka, Z. Hajkowskiego i innych. Poza artykułami kolumna pomieszcza i wiersze poetów łódzkich. Praca Komitetu zasługuje na pełne uznanie. W dodatku literackim Łódź posiadła wartościowe pismo, świadczące dodatnio o ambicjach naukowych polonistów łódzkich.

W miesiącu czerwcu pojawi się rocznik drugi „Prac Polonistycznych", wydawanych przez Towarzystwo Polonistów — Oddział w Łodzi. Składać się będzie z dwóch części: działu naukowego i dydaktycznego. Drukują w roczniku swe prace: Stefania Skwarczyńska, J. Z. Jakubowski, W. Fallek, Z. Erdmanowa, Marian Piechal, Ludwik Stolarzewicz, M. Romankówna, H. Grodzka, T. Sarnecki i t. d.

Z radością powitać należy nowy druk łódzki świadczący, iż w Łodzi istnieje kuźnia rzetelnej pracy naukowej iż i na bruku łódzkim możliwe jest zorganizowanie warsztatu naukowego, stwarzającego rozprawy cenione przez krytykę naukową polską.

Janusz Konrad Urbach redaktor Głosu Porannego wydał pracę zatytułowaną „UDZIAŁ ŻYDÓW W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI". Wstrzymujemy się od oceny krytycznej książki, pozostawiając to pióru bardziej kompetentnemu.

Młody historyk łódzki, znany już z całego szeregu wartościowych przyczynków do dziejów Łodzi Roman Kaczmarek ogłosił rozprawę p. t. „LEGENDA O PAWLE KUBOWICZU W ŚWIETLE PRAWDY HISTORYCZNEJ". Poza przedrukiem gawędy Dłużniewskiego, który upoetyzował legendę łódzką, rozprawa zawiera nader wnikliwe uwagi na temat samej legendy, zestawione z prawdą historyczną. Winna ona zainteresować miłośników Łodzi.

Eugeniusz Ajnenkiel. ogłosil broszurę p. t. Dr. Stefan Kopciński, realizator powszechnego nauczania w Łodzi. Życiorys działacza społecznika zasłużonego dla oświaty miasta.

Debiut poetycki. Władysław Janiak wydał własnym nakładem zbiór poezyj pod tytułem UKOCHANIE ZIEMI. Tomik zawiera następujące cykle: Ukochanie ziemi — Zew młodości — Galop w nieznane — Erotyki — Oblicze Łodzi.

Czesław Garda wydał tomik nowel, zatytułowany „KONFRONTACJE. Znajdujemy w nim: „Czuwanie — Na ołtarzu — Historia bez pointy — Pożegnanie".

Grupa Literacko-Artystyczna „Osnowa" wydała pierwszy numer swego organu pod nazwą „OSNOWY LITERACKIE". Pismo podpisuje jako redaktor Krystyna Chruścielska, a jako wydawca Marian Adamczyk. Na treść „Osnów" składają się działy: Kolumna poetycka (Marian Zaremba-Adamczyk, Tadeusz Holcgreber, Krystyna Chruścielska, Lucjan Żak, Władysław Kamiński, Wiktor Uhlig). Przekłady (Diego Valeri —tłum. K. Chruścielska, Ardengo Soffici — tłum. M. Ad), Proza (M. Zaremba-Adamczyk). Artykuły (Wład. Kamiński. „Osnowa", Juliusz Lubicz-Lisowski). Zawartość numeru uzupełnia szereg llustracyj. Pismo redagowane żywo czyni bardzo sympatyczne wrażenie. Należy podnieść szatę estetyczną „Osnów".

Pojawił się drugi z rzędu numer „WYMIARÓW". Większość artykułów została poświęcona Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. s.

Recenzje

NIKE. Pierwszy rocznik 1937 „czasopisma poświęconego kulturze plastycznej „Nike" przedstawia się nadzwyczaj okazale. We wstępie od Redakcji czytamy: „Nike powstaje jako organ Instytutu Propagandy Sztuki. Zgodnie z programem ideowym Instytutu pismo to ma odzwierciedlać i tłumaczyć dążenia sztuki współczesnej, nawiązać wątek tradycji i troszczyć się o społeczne oddziaływanie rzetelnych wartości artystycznych. W tekście liczne reprodukcje i ilustracje w najściślejszym związku z artykułami. Dopełniają numer sprawozdania z działalności Instytutu Propagandy Sztuki za okres od 1930 do 1937 roku, gdzie również uwzględniono działalność łódzkiego oddziału I. P. S.-u, jak wieczory autor-

skie poetów łódzkich i odczyty: Konstantego Mackiewicza, Rafała Lena, Mariana Piechala, Władysława Strzemińskiego i innych. (m. p.)

SCENA POLSKA. Niemniej okazale prezentuje się rocznik XIV-ty (1937) „Sceny Polskiej", organ Związku Artystów Scen Polskich pod redakcją znanego krytyka i teatrologa, dr. Tymona Terleckiego. Z obfitego materiału należy zwrócić uwagę przede wszystkim na rewelacyjny artykuł Leona Schillera o Wyspiańskim p. t. „Teatr ogromny", następnie Karola Stromengera o „Teatrze Karola Szymanowskiego", Józefa Śliwickiego „Wspomnienia o Modrzejewskiej", Aleksandra Hertza o „Teatrze jako zagadnieniu socjologicznym", Stanisława Słowackiego o „Narodzinach i początkach teatru widowiskowego" i S. B. Shawa „Przedmowę do pierwszego wydania „Szczyglego zaułka". W dziale materiałów zwracają uwagę, „Listy Bogumiła Dawisona" w opracowaniu Tymona Terleckiego. Numer uzupełniają: polska i obca bibliografia teatrologiczna i obszerny dział sprawozdawczy z życia organizacyjnego teatru w Polsce. (m. p.)

„DRAMAT DYGASIŃSKIEGO", wydany nakładem Gebethnera i Wolffa, to nowa cenna pozycja krytyczna Zygmunta Szweykowskiego. Znakomity krytyk ujmuje niesłusznie zapoznaną twórczość „polskiego Kiplinga" w następujących rozdziałach: Indywidualność Dygasińskiego, Dygasiński pozytywista, oblicze artystyczne Dygasińskiego, epoka kryzysu, Gody życia. Książka niezbędna dla miłośników wielkiego pisasza i dla młodzieży szkolnej. (m. p.)

Dwa tomy wykładów uniwersyteckich St. Windakiewicza „POEZJA ZIEMIAŃSKA" I „ROMANTYZM W POLSCE" stanowią bardzo zwięzłą i źródłową historię literatury polskiej od jej początków do epoki romantycznej włącznie Opracowana według najnowszych metod naukowych, uwzględniająca najświeższe źródła i wyniki badań, jest doskonałym podręcznikiem wiedzy o dawnej literaturze, pożytecznym zarówno w rękach polonisty, młodzieży uniwersyteckiej, jak i uczniów szkół średnich. Zaleca się jasnością stylu i nieposzlakowaną polszczyzną. (m. p.)

Książki

Ostatnie tygodnie zaznaczyły się całym szeregiem wartościowych książek, wzbogacających rzetelnie naszą literaturę piękną i naukową.

I tak „Rój" wydał Witolda Bunikiewicza CZARNY KARNAWAŁ — obraz Warszawy i Płocka pod panowaniem pruskim u schyłku wieku XVIII i w początkach XIX stulecia, Wandy Dobaczewskiej „TAM, GDZIE SIĘ SERCA PALĄ" — pełną sentymentu opowieść o filomatach wileńskich z lat 1817 — 1823, Miłosza Gembarzewskiego „WIEŻA SPRAWIEDLIWOŚCI" — osiem opowieści staropolskich, wydobyte ze starych archiwów i odwiecznych dokumentów, z przekładów wreszcie głośną powieść Jules Romains'a „MIŁOŚĆ CHŁOPIĘCA"— w doskonałym tłumaczeniu Wacława Rogowicza.

Z wydawnictw F. Hoesicka godzi się wymienić: Edwarda Kudelskiego SOSNOWIEC JEST TAKIM MIASTEM JAK LONDYN, PARYŻ, WIEDEŃ (ciekawy debiut!), Stefana Otwinowskiego MARIONETKI, Kazimierza Truchanowskiego „Apteka POD SŁOŃCEM"; Wacława Grubińskiego „LISTY POGAŃSKIE" (11 nowel).

Z niwy poetyckiej pojawiły się dalsze cztery „ARKUSZE POETYCKIE", zawierające wiersze Jana B. Ożoga, Mariana Czuchnowskiego, Zbigniewa Bieńkowskiego i Czesława Janczarskiego, oraz tom poezyj laureata Nagrody Młodych Stanisława Piętaka OBŁOKI WIOSENNE — poza drobniejszymi utworami zawiera pierwszą część poematu p. t. „ZIEMIA odpływa na Zachód.

Z literatury naukowej godne poznania są studia i artykuły literackie profesora Konrada Górskiego wydane p. t. LITERATURA A PRĄDY UMYSŁOWE (wyd. „Rój)", oraz Jana Stanisława Bystronia, pierwszorzędnego znawcy polskiej przeszłości obyczajowej KSIĘGA IMION W POLSCE UŻYWANYCH (wyd. „Rój") — zawierająca dzieje poszczególnych imion na ziemiach polskich w dawnych wiekach. S.

„PASJE BŁĘDOMIERSKIE" Iwaszkiewicza, to chyba najlepsza powieść autora „LATA W NOHANT". Wysokie walory artyzmu łączą się harmonijnie z wagą poruszanych w niej problematów czynu ludzkiego i odpowiedzialności za za ten czyn wobec nieprzewidzianych jego następstw. Autor ilustruje na najsubtelniejszej formie czynów ludzkich: twórczości artystycznej. Bohaterami jego powieści są twórcy: powieściopisarz Zamoyłło i poeta Kanicki. Ponury nastrój powieści przypomina Dostojewskiego, etyczna jej strona Żeromskiego. (m. p.)

Szereg wartościowych książek wydało ostatnio wydawnictwo „Książnica-Atlas", z nich na pierwszy plan wybija się książka majora Lepeckiego o polskim zdobywcy Madagaskaru, owym Legendarnym Beniowskim, opisanym przez Słowackiego i Sieroszewskiego. Pierwszy to raz bohater ów z legendy schodzi na grunt twardej rzeczywistości faktów i dokumentów, nic przytem ze swej egzotyczności nie tracąc, co już jest niemałą zasługą talentu wielkiego podróżnika, do których należy M. Lepecki. Drugą wartościową pozycją jest dwutomowe dzieło powieściowe Bohdana Pawłowicza o życiu chłopów Polskich w Brazylii pt. „Pionierzy" (tom I „Wojciech Mierzwa w Paranie", tom II „Wyspa św. Katarzyny"). Jest to prawdziwa epopeja emigracji naszej na nowym lądzie, ukazująca się w czasie najbardziej stosownym, za co powinna się cieszyć zasłużoną poczytnością. Jej walory artystyczne i społeczne omówimy niebawem w obszerniejszym artykule. (m. p.)

CO PISZĄ W POLSCE O „KULTURZE ŁODZI"?

„Kultura Łodzi„ spotkała się w Polsce z życzliwym przyjęciem. Dowodem tego głosy prasy, podkreślające poziom artykułów, dających w sumie obraz kulturalnej Łodzi. Pismu nie chodzi o tani efekt. Pragnie jednego: by każdy artykuł dawał jakiś rzetelny przyczynek do dziejów Łodzi.

O „Kulturze Łodzi" dotychczas pisały: Kurier Poranny, Kurier Poznański, Dziennik Poznański, Kurier Polski, Ilustrowany Kurier Codzienny, Prosto z mostu, Pion, Gazeta Polska, Polska Zbrojna.

„Pion„ powiada: „Zeszyt pierwszy prezentuje się sympatycznie. W szeregu artykułów autorzy poruszają aktualne problemy życia umysłowego swego miasta, okazując szczere przejęcie się sprawami, o których piszą (3 kwietnia 1938 r.)

„Gazeta Polska": dawszy dokładny przegląd treści 1-go numeru kończy tymi słowy: „całość numeru — na poziomie wyjątkowo wysokim — rokuje „Kulturze Łodzi" dużą przyszłość"... (1 maja 1938).

Kronika miesięczna

W imię Belzebuba! Zawsze bardziej wierzyłem w czyn, niż w słowo. Bo zważcież, bracia mili, co się nie dzieje? Dla pozoru w zeszłym miesiącu napisałem obszerniej w „Kulturze Łodzi", ażeby zmylić czujność, podczas gdy chyłkiem, boczkiem, tędy, owędy, smyk w teren — do czynu, do dzieła: sposobikiem takim, owakim, psim swędem, omamem, tumanem dawaj wtryniać temu owemu złe humory, wsączać piekielne jady i zatrucia dusze. Piekielna ingrediencja złośliwości

wybuchła wreszcie w tym i owym pianą iście niesamowitą, gorszą od wścieklizny, bo jej szczepionką Pasteura nie uleczysz! Trzeba by jakiego moralnego zastrzyku, bo to są duchowe wrzody i obrzydliwości, ale cóż — nie wszyscy ludzie wierzą w ducha tak niezłomnie jak diabeł, nie wszyscy nawet przyznają się do własnej duszy, aż dopiero kiedy im obrośnie flegmą i zacznie ją toczyć rak mojej złośliwości — wtedy w związku ze mną przypominają sobie i o niej. Nie mniej brzydliwe wysypki pojawiają się i na szerszej atmosferze życia naszego miasta. Wydał, naprzykład, „Głos Poranny“ w dziesięciolecie swego istnienia numer jubileszowy. Na ozdóbkę przybrał dodatek jubileuszowy we wdzięczne podobizny niektórych ojców miasta i województwa, ale właśnie tych, którzy nic wspólnego z dziennikiem tym nie mieli. To samo dotyczy literatów. A jakże: jest Tuwim, oznajmiający w krótkiej notatce na odczepne, że Łodzi dzisiejszej nie zna i nic z nią wspólnego nie ma, jest Wittlin, który wspomina swe czasy w teatrze łódzkim z roku 1923-4, a więc z okresu, kiedy „Głos Poranny“ jeszcze nie istniał, no i Gustawa Jarecka, która ma akurat tyle wspólnego z Łodzią, co Stefan Gelbart zasługami swymi z kulturą polską. Boć on to właśnie, Gelbart, tkwi jak wiecheć z pakuł między nazwiskami Tuwima i Wittlina a Schillera i Adwentowicza; natomiast zabrakło miejsca dla Zygmunta Bartkiewicza, Jana Nepomucena Hillera, Mieczysława Brauna, Stefanii Skwarczyńskiej, Bolesława Dudzińskiego, Mieczysława Jastruna, Światopełka Karpińskiego, Jerzego Zawieyskiego, nie mówiąc już o społecznikach i publicystach, jak Eugeniusz Ajnenkiel, Józef Wolczyński, dyr. Jan Augustyniak, Edward Rosset albo o literatach tak przecież zasłużonych dla pisma, bo pracujących w nim prawie za darmo od samego początku po ostatnie niemal czasy, jak Marian Piechal, Grzegorz Timofiejew, Rafał Len, Wilhelm Fallek Kazimierz Sowiński i Antoni Kasprowicz. Dla tych ludzi miejsca zabrakło — dla Gelbarta nie! On wystąpił z prawem głosu równym Tuwimowi i Adwentowiczowi. A obok niego Eugeniusz Kronman opowiadający, jak to wyżsi dostojnicy województwa i starostwa łasi są na pochwały w ich piśmie (to zapewne uprzedzająco grzeczne pendant do zamieszczonych tam fotografij niektórych dostojników) i Gustaw Wassercug, który wyznaje, iż zwykłą drabinę kariery dziennikarskiej, składającej sie ze szczebli (dosłownie): „mizerny dziennikarzyna, sława, mozolna praca“, los w stosunku do niego postawił odwrotnie.

Nie wątpimy ani na chwilę w pierwszy, a zwłaszcza trzeci szczebel, natomiast o tym środkowym szczeblu, to chyba gruba przesada — musiał się szczebel złamać, bo o ile wiemy, czcigodny redaktor nie odznacza się wagą piórkową. I co się potem dziwić, że im endecja nasobaczy od jewrejów, jeżeli wśród zaproszonych literatów, reprezentujących w „Głosie Porannym“ Łódź, nie ma ani jednego aryjczyka. Potwierdza to dowcipną trawestację pewnego endeka znanego powiedzenia, że prowincja polska zabita jest od świata Żydami. W każdym bądź razie „horrida tempestas caelum contraxit”. Mnie, diabłu, w to graj, chociaż wiem, że siaki taki koryfeusz obskurantyzmu obrazi się...

Uderz bowiem w stół, a nożyce redaktorskie się odezwą. Vale.

Boruta
verus comes infernus

Na numerze 5 kończy się pierwsze półrocze „Kultury Łodzi“. Pisali w nich sami łodzianie (urodzeni w Łodzi, lub też w niej pracujący: Augustyniak, Bechlerowa, Bolechowski, Bujański, Chruścielska, Czapczyński, Dobrzyński, Gumkowski, Dzienisiewicz, Jagiełło, Jakubowski, Jamroż, Kaczmarek, Kasprowicz, Kunstman, Manugiewicz, Minich, Mirkowicz, Niemirski, Nowakowska, Olcha, Pałczyńska, Pawłowski, Pawłowicz, Pączek, Piechal, Rachalewski. Romankówna, ks. Rybus, Skwarczyńska, Sowiński, Stawarska, Stolarzewicz, Szczygielski, Szumlewski, ks. biskup Tomczak, Wolczyński; spoza Łodzi Karol Homolacs) — o Łodzi i o sprawach jej.

6 numer pisma pojawi się w miesiącu wrześniu.

Redakcja wyraża serdeczne podziękowanie wszystkim współpracownikom i przyjaciołom pisma.

Treść:

REDAKTOR: L. Stolarzewicz — w imieniu Komitetu.

Wydawca: Dr Ludwik Stolarzewicz w imieniu komitetu redakcyjnego.
Adres redakcji i administracji: Aleje Kościuszki 26, tel 184.05.
Godziny przyjęć: w poniedziałki i wtorki od 11—12, czwartki od 17 18.
Druk. R. Tylko, Łódź, Al Kościuszki 26, tel 184.05

